NASI ZIĘCIOWIE.

Komedya w pięciu aktach

PRZEZ

Kazimierza Zalewskiego.

WARSZAWA.
Nakład i Druk S. Lewentala
Nowy-Świat Nr. 41.
1886.

NASI ZIĘCIOWIE.

NASI ZIĘCIOWIE.

Komedya w pięciu aktach

PRZEZ

KAZIMIERZA ZALEWSKIEGO.

WARSZAWA.
Nakład i druk S. Lewentala,
Nowy-Świat Nr. 41.

1886.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 17 Мая 1886 г.

OSOBY:

Limburg.
Rodosław Stockfindel.
Anatol Hr. Pimbeche.
Bolesław Wielohradzki.
Antoni Dormund.
Józef Żelski.
Stanisław Horski.
Albert Finger.
Hrabia Janusz.
Doktor Hugo.
Effroimowicz.
Elżbieta Korbiczowa.
Marya Pimbeche.
Lola Limburg.
Zofia Dormund.
Hrabina Gabryela.
Jan, lokaj Korbiczowé.
Lokaj Limburga.
Goście. Służba,

Rzecz dzieje się w Warszawie.

AKT I.

Mały salonik, bogato umeblowany, w mieszkaniu Korbiczowéj, drzwi z prawéj i w głębi do dalszych pokoi, z lewéj wejście główne z przedpokoju.

SCENA PIÉRWSZA.

Żelski, Dormund.

Żelski.

Pan Dormund tutaj? no, a to niespodzianka! Przyznaję się, że jeśli kogo, to pana najmniéj spodziewałem się tu spotkać.

Dormund.

Myślałeś, że siedzę jak borsuk w mojéj norze w Margaliszkach; aż tu pach! i stary Dormund w Warszawie, i to jeszcze na takich salonach.

Żelski.

Na takich!... to tam dużo-by można mówić o tém.

Dormund.

A taki gadaj, kochanieńki! Mówże mnie, co tu

jest, bo ja ciekaw niezmiernie, a interesowany takoż. To jasne przecie, że ja tu bez powodu nie przyjechał.

Żelski.

Tak-że mi pan mów. Powinienem się był odrazu domyślić, że stary niedźwiedź bez przyczyny nie wyłazi z kniei. No! opowiedz mi pan, jaka to bieda wyciągnęła Litwina z lasu.

Dormund.

Ah! Bieda to nie jest, a interes. Pszenica kiepsko płaci, inne ziarno téż; to ja myślę, a i moja żona takoż, a i Zosia, moja córka, żeby ja się wziął do przemysłu a fabrykacyi. U mnie chmielu zatrzęsienie, a i u sąsiadów téż; poco Niemcy mają zarabiać na piwie? my chcemy własny założyć browar u mnie w Margaliszkach i robić piwo, jak Bóg przykazał. Pójdzie do Wilna i do Grodna, a i do Warszawy, jak zażądacie, takoż! Możem sprzedać i do Moskwy, i do Petersburga; czemu nie! No, ale na to trzeba gotówki, a my nie mamy. Tak żona mówi: jedź do Warszawy, a i Zosia téż! ta i przyjechałem. Myślę: pójdę do żydów, a oni pytają hypoteki i dziwią się, co Margaliszki nie w téj gubernii. Widząc, co z nimi nie dojdę do ładu, szukam ja bankierów, wielkich finansistów! no, ale cóż? ja tu nieznajomny! tak i poradzili tę panią, i list dostałem do niéj. Powiedzieli, że przyjmuje we środy, ta i ubrałem się przystojnie i przychodzę. Na samym progu spotkałem ciebie! Toż ty mnie krewniak po nieboszce ciotce, ta i radź, kochanieńki, a pomagaj. Powiedz, co to za jedna ta pani? jak z nią gadać?

może wsunąć w rękę jaki duser, co? ja i na to gotów! Cóż to Korbicz? Korbicz! to jakieś dziwne nazwisko; a panna, czy wdowa ona? bo o mężu coś nie słyszę.

Żelski.

Och, mąż był! najzupełniéj autentyczny, mogę pana upewnić! Widziałem go na własne oczy przed czterema laty... na katafalku. Miał trumnę prześliczną, rośliny exotyczne dokoła, karawan piérwszéj klasy na pogrzebie i karet masa. Bądź spokojny, kochany krewniaku! pan Korbicz zamanifestował w sposób wybitny swoję exystencyą tym pogrzebem. A jego żona! żebyś widział, jak omdlewająco wspierała się na ramieniu hrabiego Janusza! jak batystową chusteczką wdzięcznie tarła zaróżowione prawdopodobnie tém dyskretném tarciem powieki. Nie! nie! to musiało być małżeństwo wzorowe. A jak jéj było do twarzy w czarnym welonie i w kapelusiku *a l'ecuyère!*

Dormund.

No, ale nieboszczyk? czémże on był, co robił?

Żelski.

Nie mogłem go o to pytać; chwila nie była potemu właściwa, przy pierwszéj znajomości... na jego pogrzebie.

Dormund.

Ot, żartujesz sobie ze starego, panie Józefie, a mnie doprawdy chce się dowiedzieć, gdzie ja tu jestem i kto jest ta pani?

Żelski.

Ha, jeśli pan chcesz tego koniecznie, przejdźmy

do historyi! zastrzegam tylko, że jest legendowa i że ja za nią żadnéj odpowiedzialności nie przyjmuję. Otóż opowiadają, że przed czterdziestu laty pewien magnat litewski, bodaj czy nie jaki twój koligat, kochany panie Franciszku, miał ekonoma, męża bardzo ładnéj żony, a że ładna żona jest zawsze dowodem szczególnego błogosławieństwa Bożego, więc i naszemu ekonomowi Pan Bóg błogosławił w dobytku i względach dziedzica; nawet dzieci rodziły mu się piękne i zdrowe, a dziwnie do jego pana podobne. Niestety! wszystko ma swój koniec na świecie! umarł ekonom i żona jego umarła! Sierotami zaopiekował się dobry pan, a specyalnie upodobał sobie jednę, którą kazał kształcić na pensyach zagranicznych, a potém, jak mówiono, chciał nawet adoptować. Śmierć znowu przyszła nie w porę i magnat znalazł tylko dość czasu przed skonem, aby swoję pupilkę polecić opiece siostry, hrabiny Gabryeli w Warszawie. Hrabina Gabryela była siostrą wyjątkową: pozostała wdzięczną bratu za odziedziczone miliony i, kiedy młoda ekonomówna, w całéj pełni urody i młodości, potrzebowala jednak koniecznie wyjść za mąż, (czasem się młodym pannom przydarzają takie wypadki) otóż, kiedy mąż, jak utrzymują złe języki, był nieodzownie potrzebnym, wynalazła z pośród swoich oficyalistów człowieka pełnego cnot wszelkich, miłego, grzecznego, skromnych obyczajów, a przedewszystkiém pobłażliwego, którego matka urodziła Korbiczem, a ksiądz przy chrzcie świętym nazwał Wawrzyńcem. Jeżeli go chcesz opłakiwać, kochany panie, miejsce tu po

temu najodpowiedniejsze... jesteśmy w salonie jego wdowy.

Dormund.

Co-że znów płakać takiego szołdry! No! ale ona, ona! co ona robi?

Żelski.

Co ona robi? ona robi małżeństwa.

Dormund.

Jakto? rajfurka? cóż?

Żelski.

A pfe! któż tak brzydko nazywa rzeczy po imieniu. Pani Korbicz jest poprostu osobą zestosunkowaną w towarzystwie i, jako taka, ułatwia w swoim salonie bliższe znajomości pannom z młodymi ludźmi, teściom z przyszłymi zięciami. Od czasu, jak małżeństwo stało się głównie operacyą finansową, przynajmniéj w pewnym odłamie towarzystwa, pośrednik okazał się niezbędnym tak, jak w każdéj operacyi handlowéj; pani Korbicz zajęła stanowisko dotąd wolne; dobrze jéj z tém i towarzystwu także.

Dormund.

No, a cóż ona w tém ma?

Żelski.

A to pan nie wiesz widać, jak się tu u nas małżeństwa kojarzą? Jest panna posażna do wzięcia, to znaczy ogłasza się konkurs. Trudno przez gazety publikować warunki do nagrody, więc pani Korbicz gra rolę sekretarza komisyi. Zna wymagania papy, uprzedzenia mamy i gust córki. Na-

odwrót: jest ruchomość małżeńska na sprzedanie, ładne nazwisko z hypoteką zaszarganą, mąż do nabycia! Wystawia się towar w tym salonie, okazuje nabywcom, rozumié się z najkorzystniejszéj strony, aż się jakoś wykombinuje ładnie dobrana para: hrabiego Pimbeche z panną Limburg, Wielohradzkiego z panną Stockfindel, hrabiego Janusza z panną Efroimowicz, i tylu, tylu innych, o których pewno pan słyszałeś. Zato, najprzód pani tego domu dostawała kosztowne upominki od teścia i zięcia; potém, nieboszczyk Korbicz, który z czasem z prywatnego oficyalisty wyszedł trochę na prawnika, trochę na kupca, otrzymywał plenipotencye kundmanow swojéj żony, a ile tam na nich zarabiał, to już tajemnica między nim a żoną, która po-za tém niewiele miała, jak mówią, wspólnych z nim sekretów. Po śmierci tego poczciwca, interesa idą daléj w najlepsze; forma wynagrodzenia jest pewno tylko bardziéj skomplikowana, o czém nie wiem, bo mnie to mało obchodzi. Moja koléj jeszcze nie nadeszła; mam czas, jak się zrujnuję, układać o warunki z milutką gosposią téj zakrystyi świątyni Hymena.

Dormund.

No, a pocóż pan tu przychodzisz?

Żelski.

Poco? naiwny Litwinie! poto, że się tu bawię! że tu jest przyjemnie, wesoło: gospodyni jeszcze bardzo ponętna, młode mężatki wogóle z mężów niezadowolone, a komedya między teściami i zięciami dla obojętnego spektatora niesłychanie zabawna!

Dormund.

No, ale to przecie nieporządnie tak...

Żelski.

A to od antypodów przyjechał szlachcic! Gdyby człowiek u samych porządnych ludzi bywał, to w końcu zerwać-by musiał stosunki nawet sam ze sobą. Kochany panie Franciszku, ja dobiegam czterdziestki i wiem już z doświadczenia, że Katonom i bocianom najgorzéj na świecie. Zresztą, ja już nawet w Katona przestałem wierzyć; to legenda go tak ubrała. W istocie był to lichwiarz, a więc dziś byłby finansistą; uczył się tańczyć, a więc zwolennik choreografii, teraz skończył-by na balecie. I ty, kochany panie, jeżeli chcesz u nas zrobić interes, przedewszystkiém wylecz się z przesądów! Porządnym człowiekiem jest tu każdy, kto ma frak, tużurek i umié po francuzku; porządną kobietą każda, która ma męża; porządną panną każda, która ma posag! o resztę nie pytaj.

Dormund.

Ależ...

Żelski.

Jesteś w domu kobiety niepewnego urodzenia, o mężu zagadkowym, któréj trzydziestu kochanków wyliczano! Patrzaj! w salonach jéj tłum gości! cisną się najpiérwsze w kraju nazwiska, finansiści i inteligencya! Widzisz pan, jak się grupują około tego łysego blondyna! To hrabia Ildefons! jego żona z kochankiem jeździ po Włoszech, on wié o tém! patrz, jak się do niego garną! Tam znów z prawéj, to Pyszkiewicz, magnat, milioner

z ekonoma! Słyszałeś pan o jego sławnym procesie z Grodzkimi? Puścił z torbami familią żony, wysubhastował ich najniesłuszniéj! doprowadzony do nędzy, stary się zapił, żona skończyła w szpitalu, dziewczyny jeszcze gorzéj! Patrzaj, jak mu się kłaniają wszyscy. A tu idą „nasi zięciowie”, hrabia Pimbeche z Wielohradzkim. No, zostaw mnie pan z nimi, a sam idź attentować się gospodyni tego domu. A pamiętaj: niéma porządnych i nieporządnych, zacnych i nieuczciwych; są tylko bogaci i ustosunkowani, albo goli i bez wpływu. Z drugich drwij, ale piérwszych szanuj i kłaniaj się im, bo inaczéj pożegnasz się nawet z browarem akcyjnym. Więc, albo kwita z browaru, albo pobłażliwość i patrzenie przez szpary na wszystko. Jeśli nie, wracaj pan do Margaliszek, bo nie masz tu co popasać.

Dormund.

Ha, żony tu niéma, córki także!... Sprobuję zobaczyć, jak ten wasz świat wygląda? *(wchodzi do sali).*

SCENA DRUGA.

Żelski, potém **Pimbeche.**

Żelski.

A idź, idź!... Jeśli przypuszcza, że oni mu coś zrobią dla jego pięknych oczu!... Aha, Pimbeche! jak się masz, hrabio?

Pimbeche *(łysy, krótkowidz, astmatyk, co chwila kaszle albo potyka się, gdy pince-nez spadnie mu z nosa, czego nie spostrzega na razie).*

Jak się mam? Nie mogę się źle mieć. *(Nuci.)*
Ten lew zacięty, to przecie cięty, to przecie Agame...
(Atak kaszlu nie dozwala mu skończyć).

Żelski *(podchwytując).*

Agamemnon sam, to widoczne!

Pimbeche.

Aha! Uważasz, trochę kataru. *(Potknął się o stołeczek i o mało się nie przewrócił).*

Żelski.

Cóż to? potykasz się?

Pimbeche.

Ech nic! to krótki wzrok i ta moja krewkość! jestem taki ruchliwy! Niéma tu mojéj żony?

Żelski.

Jest w tamtym salonie; i teść także. Jakże teraz z nim jesteście?

Pimbeche.

Nieźle! kupił mi dom przed tygodniem.

Żelski.

I cóż ty?

Pimbeche.

A ja? sprzedałem go.

Żelski.

A to dobrze! przynajmniéj uruchomiasz kapitały.

Pimbeche.

Nie lubię bezczynności! lubię ruch. *(potyka się o fotel).*

Żelski.

Tylko się ciągle potykasz.

Pimbeche.

To ta moja ruchliwość! życie takie, energia! Szukam lustra; muszę się przyprowadzić do porządku! byliśmy z Wielohradzkim u Ewci! tęgi bursz!

Żelski.

Kto? Ewcia?

Pimbeche.

Nie.. Wielohradzki! Ma nieporozumienia z teściem.

Żelski.

Wiem! trochę podobne do twoich.

Pimbeche.

E nie! Mój teść jest co innego, a jego teść co innego. Najprzód wielka różnica majątku; a potém, mój jest zacny starzec! bardzo dystyngowany, gdy Stockfindel sknera. Uważasz, płaci Bisiowi rentę, która ledwie wystarcza na utrzymanie domu.

Żelski.

Chyba dwóch domów: najprzód Ewci, a potém żony.

Pimbeche.

Właśnie, że nie wystarcza na Ewcię, i biedny chłopiec musi robić długi. Gniewa się też, irytuje,

i ciągłe są skandale między nim i teściem, co nawet głupio wygląda. Ten Sztockfindel jest poprostu kapcan, nie umié uszanować człowieka, który wszedł do jego rodziny! No, bo albo się szanuje człowieka, który wchodzi do rodziny, albo go się nie szanuje.

Żelski.

To jasne, jak słońce.

Pimbeche.

A widzisz! ja jestem logiczny! Więc jeśli się szanuje zięcia, to nie trzeba być z nim sknerą i bagatelizować go na każdym kroku! Co taki Biś potrzebuje? tam nędzne kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie! dać mu je i rzecz skończona.

Żelski.

Byle nie z mojéj kieszeni, ja nie mam nic przeciwko temu.

Pimbeche.

Z czyjéj znowu kieszeni! teść jest od tego, *qu'il s'execute* i basta. Kiedy ktoś chce miéć zięcia jak się należy, powinien zachowywać się jak gentleman! Tamten go wprowadza w świat, w towarzystwo, a ten przed nim chowa klucz od kasy! co to za postępowanie!

Żelski.

Nie znajduję słów, żeby je określić.

Pimbeche.

Masz racyą; i ja nie znajduję słów! Taki brak zaufania! zamykać kasę przed zięciem! Poszedł Biś poszukać tam tego dusigrosza i powié mu re-

prymendę! I ja mu ją powiem, jak go spotkam. Notabene, że Biś jest nawet bardzo do niego przywiązany, dba o jego zdrowie.

Żelski.

Ee!

Pimbeche.

A tak! Wiész, ten doktor Hugo, to jest maniak! on im wszystkim jeść zakazuje; powiada, że się przejadają. Biedny Stockfindel tak w to uwierzył, że formalnie głodzi się; choć i mój teść także się głodzi, ale mniéj! Otóż Biś, w moich oczach, parę razy prosił Stockfindla na kolacyą! Nawet raz chciał go zaprowadzić do Ewci, żeby mu było wesoło.

Żelski.

I cóż?

Pimbeche

Odmówił; ale wiész z jakiéj przyczyny? bał się płacić! Nie, Biś nigdy z niego nie zrobi człowieka z towarzystwa.

Żelski.

Rozumié się; człowiek, który z zięciem nie chce chodzić na kolacyą do jego kochanki... z takiego nigdy nic nie będzie.

Pimbeche.

A wiész, jak się to skończy? nie chcę być złym prorokiem, ale przepowiadam, że oni się rozdzielą z żoną. Mój Boże! a tak jednak jest łatwo osią-

gnąć porozumienie w małżeństwie. Ot, my z Maryą, żyjemy jak para gołąbków. *(nuci)*

Złączeni razem spędzamy życie.

Nie widziałem jéj już dwa dni.

Żelski.

A ja byłem wczoraj u hrabiny i właśnie niepokoiła się trochę o ciebie.

Pimbeche.

Kocha mnie szalenie i jest trochę zazdrosna! Przytém, od czasu, jak zostałem konsulem Marokańskim!... bo ty nie wiész, że ja zostałem konsulem Marokańskim?

Żelski.

Winszuję!

Pimbeche.

Niéma czego! Teść się tém zajął. Mam bardzo piękny mundur, w którym mi jest do twarzy, i na mojéj żonie zrobiło to wielkie wrażenie. Na Kloci też! Sprawiłem jéj suknią; staniczek—pieścidełko!... O czém to ja mówiłem?

Żelski.

Miesza ci się! o żonie.

Pimbeche.

Aha! o żonie.

Żelski.

Zdaje mi się, że tu właśnie idzie z hrabią Januszem.

Pimbeche.

Co? i on tu jest? to pewno i Efroimowicz będzie! Ot, to mi jest teść!

Żelski.

Ba! książę bankierów.

SCENA TRZECIA.

Ciż i Elżbieta.

Pimbeche.

Aha, Marya! Jak się masz żonusiu!... to nie żona! Przepraszam panią! wziąłem panią za Maryą! Nie trzeba jéj mówić o tém! jest tak zazdrosna.

Elżbieta.

Hrabina jest z ojcem w salonie.

Pimbeche.

Biegnę do nich. (*nuci*)

Biegnę, gdzie mnie serce wzywa.

(*potyka się na progu*). Oh, widzi pani: *toujours trop de sève*. (*Wybiega*).

Żelski.

No, jeśli ten się na krewkość skarży!...

Elżbieta.

Właśnie szukałam pana, panie Józefie.

Żelski.

Mnie? doprawdy? czy istotnie miał-bym naznaczyć gwiazdką ten dzień w kalendarzu?

Elżbieta.

Przypominają mi się pańskie gwiazdki! Słyszałam coś o tém.

Żelski.

Zdaje mi się, żeś pani nawet widziała jednę.

Elżbieta.

Ach, panie! o tém się nie mówi.

Żelski.

Wszak jesteśmy sami.

Elżbieta.

Ale nie ci sami, co przed laty! zostawmy te dziecińistwa! Wolno było bardzo młodemu człowiekowi znaczyć w kalendarzu gwiazdkami dnie szczególnych swoich powodzeń, wolno było młodéj kobiecie być ciekawą przejrzéć te cenne dokumenta w mieszkaniu właściciela... ale dziś... No! bądźmy przyjaciołmi, Cynno, i zapomnijmy o przeszłości, a raczéj pamiętajmy o niéj o tyle tylko, aby sobie wzajemnie oddawać małe przysługi towarzyskie. O jednę z nich przychodzę właśnie prosić pana.

Żelski.

Rozkazuj pani!

Elżbieta.

Kto to jest pan Dormund?

Żelski.

Gość pani.

Elżbieta.

O tém wiem! przywiózł list od dobrego mojego znajomego, który mi go poleca bardzo go-

rąco.—Chciała-bym jednak wiedzieć bliżéj, z kim mam do czynienia.

Żelski.

Pan Dormund jest właścicielem Margaliszek, to jest około stu włók pięknéj ziemi pszennéj, i jest podobno jakimś moim krewnym, czy powinowatym.

Elżbieta.

Co go łączy z panem Stanisławem Horskim?

Żelski.

Ze Stasiem? bardzo blizkie pokrewieństwo! jest jego rodzonym wujem! Marszałkowa Horska była z domu Dormundówna.

Elżbieta.

Dziękuję panu! to tylko chciałam wiedzieć.

Żelski.

To tak niewiele, że aż ośmielam się podejrzewać szczerość pani.

Elżbieta.

Za objaśnienie żądasz pan otwartości z mojéj strony? niech i tak będzie; zresztą, niéma w tém tajemnicy żadnéj. Pan Stanisław interesuje mnie trochę: przed dwoma laty spotkałam go w Reichenhallu; potém wypadła nam podróż w jednę stronę do Tyrolu i Szwajcaryi. Byłam tylko z panną służącą, więc opieka męzka stała się dla mnie bardzo cenną, a że pan Horski jest miłym towarzyszem podróży...

Żelski.

Rozumiem: *glissez mortels, n'appuyez pas.*

Elżbieta.

Jesteś pan impertynent! zresztą nie mam wcale zamiaru spowiadać się przed panem; myśl sobie co zechcesz! prosiłeś mnie pan o objaśnienie, daję je panu. Pan Horski napisał do mnie list, polecając mi pana Dormunda, o pokrewieństwie jednak z nim nic nie wspominał, i dlatego pytałam pana o ich wzajemny stosunek; bo inaczéj zajmujemy się blizkimi krewnymi naszych przyjaciół, a inaczéj natrętami, którym się daje kartkę polecającą, aby się ich pozbyć. Ot i wszystko. A! nie, przepraszam! Horski wspominał mi kiedyś, że żyjecie panowie w przyjaźni; za kamień płacę panu chlebem, udzielając wiadomości, że przyjaciel pański w tych dniach przyjeżdża do Warszawy.

Żelski.

Pani! gnę się do ziemi! jestem przybity wspaniałością pani, i gdybym jeszcze wiedział, co pani zamierzasz z nim zrobić?...

Elżbieta.

Z kim?

Żelski.

No, nie ze mną przecie! z Horskim.

Elżbieta.

Troska zbyteczna! Pan Stanisław jest pełnoletnim.

Żelski.

Do wszelkich szaleństw dla kobiety.

Elżbieta.

A więc podejrzewasz mnie pan?

Żelski.

Niestety! przyznaję się, podejrzewam panią! nie, to za mało; ja jestem pewny... że pani masz na niego jakieś plany.

Elżbieta.

Tylko nie wiész pan, jakie! No, nie masz mnie pan przecież za tak naiwną, abym się panu spowiadała. Ale dam panu radę.

Żelski.

Rada od nieprzyjaciela zawsze podejrzana.

Elżbieta.

Więc jesteśmy w wojnie? nie wiedziałam o tém! W każdym razie tém bardziéj praktyczną będzie moja rada! Sądzisz pan, że mam jakieś zamiary na pana Horskiego? Chcę go porwać, wykraść, wysłać za morze, czy ukryć w pustyni?... a więc broń go pan.

Żelski.

Przeciwko pani?

Elżbieta.

Naturalnie! Masz pan piérwszeństwo, możesz go pan uprzedzić. Zobaczysz go pan piérwéj ode mnie. Pan bronisz fortecy, a ja zdobywam; a więc, załogo, baczność! Nieprzyjaciel pod murami. Tymczasem podaj mi pan ramię i przeprowadź mnie z powrotem do moich gości.

Żelski.

A zatém zawieszenie broni?

Elżbieta.

Wszystko to zależy od pana. Pan mi wypowiadasz wojnę, przyjmuję ją; jeśli pan chcesz zgody, i do przymierza jestem gotowa.

Żelski.

Nie wiem, co lepiéj: godzić się, czy wojować z panią? — Jedno i drugie równie niebezpieczne!

Elżbieta.

Trzymaj się pan zbrojnéj neutralności, to będzie najpraktyczniéj, *(wychodzą do salonu. Przez chwilę scena pusta).*

SCENA CZWARTA.

Stockfindel, Wielohradzki.

Wielohradzki.

Nie panie, to tak dłużéj być nie może!

Stockfindel.

Co być niemoże? co być nie może? mój zięciu, proszę cię, daj mi pokój! ja jestem chory; całą noc spać nie mogłem; musiałem się znowu przejeść.

Wielohradzki.

I ja nie mogę sypiać z przyczyny teścia.

Stockfindel.

Cóżem ci zawinił?

Wielohradzki.

Nie wypłacasz mi pan posagu żony, a renta mi nie wystarcza.

Stockfindel.

Od ciebie tylko zależy, żeby była większa.

Wielohradzki.

Właśnie tego żądam.

Stockfindel.

Zrób sobie kapitał.

Wielohradzki.

Z czego?

Stockfindel.

To ty musisz wiedzieć, nie ja. Kupiłem ci wieś, wysubhastowali cię z niéj; zrobiłem ci posadę, i to jaką posadę! nie chciałeś nic robić i rada zarządzająca dała ci dymisyą. Obecnie daję ci rentę na utrzymanie was dwojga i dziecka. Ty robisz długi i żądasz kapitału, ja odmawiam i wszystko jest w porządku, z wyjątkiem mojego żołądka.

Wielohradzki.

Pan myślisz, że ja to dłużéj będę znosił?

Stockfindel.

To nie znoś!

Wielohradzki.

Zrobię skandal.

Stockfindel.

Zrób!

Wielohradzki.

Wystąpię przed sądy.

Stockfindel.

Wystąp!

Wielohradzki.

Zerwę z państwem wszelkie stosunki.

Stockfindel.

Zerwij!

Wielohradzki.

Zakażę mojéj żonie bywać u rodziców.

Stockfindel.

Zakaż!

Wielohradzki.

Więc pan jesteś pozbawiony wszelkich uczuć rodzinnych?

Stockfindel.

Nie! Ja tylko uważam, że dość jestem pozbawionym pieniędzy przez ciebie i pragnę nie być pozbawianym na przyszłość.

Wielohradzki.

Ależ, mój teściu!

Stockfindel.

Ależ, mój zięciu! zastanów się i przypatrz mi się, czy ja też wyglądam na osła?

Wielohradzki.

Nie miałem zamiaru dotykać pana osobiście.

Stockfindel.

Chciałbyś tylko osobiście dotknąć się mojéj kasy. Rozumiem najzupełniéj tę chęć z twojéj strony, tak, jak chciałbym, abyś ty zrozumiał brak mojéj skłonności w tym kierunku. Widzisz, nie irytuję się, jakkolwiek jestem słaby, i jeśli chcesz, mogę ci poświęcić parę minut czasu, abyśmy raz

doszli do stanowczego porozumienia. Pozwolisz tylko, że zapalę cygaro, bo mi to pomaga do trawienia.

Wielohradzki.

Może i mnie teść poczęstuje; przynajmniéj to zyskam na pewno.

Stockfindel.

Służę ci. Jak damy wejdą, musimy rzucić; radził-bym ci zatém wziąć tańsze, bo pocóż marnować dobre cygara na krótką chwilę.

Wielohradzki.

Oszczędność, godna podziwienia.

Stockfindel.

I naśladowania. A więc, kochany zięciu, wyłuszczaj swoje pretensye do mnie.

Wielohradzki.

Nie mam z czego żyć.

Stockfindel.

Ty, czy panna Ewa?

Wielohradzki.

Kulisy mojego prywatnego życia należą do mnie, i dopóki moja żona się nie skarży...

Stockfindel.

Masz słuszność i przepraszam cię za tę małą niedyskrecyą. Mówmy o tém, co obadwaj wiemy dokładnie. Ożeniłeś się przed dwoma laty z moją córką Amelią dlatego, że miała duży posag.

Wielohradzki.

Zakochałem się w niéj.

Stockfindel.

Pochlebiasz mi, kochany zięciu. Ja wydałem ją za ciebie, bo pochodzisz z dobréj rodziny i nosisz ładne nazwisko ; jak widzisz, stawiam kwestyą jasno. Zacząłem od tego, że oczyściłem z długów twój majątek rodzinny,—kosztowało mnie to około stu tysięcy rubli. W dziesięć miesięcy wysubhastowano cię z Wielohradu.

Wielohradzki.

Rok był nieurodzajny; brat cioteczny mnie zarwał...

Stockfindel.

Jedném słowem, nieszczęście. Uważając, że ci gospodarstwo nie sprzyja, zrobiłem ci posadę w Banku.

Wielohradzki.

Sześć godzin dziennie rozdzielać się z żoną! to było dla mnie za wiele.

Stockfindel.

Uczucia rodzinne przemogły! pomimo moich wpływów i stosunków, usunięto cię z posady. Postanowiłem zachować niewielką już resztę sumy posagowéj w mojéj kasie, aby żona, którą tak kochasz, nie poszła z czasem pod płot z dzieckiem, i wypłacam wam rentę, przenoszącą dwukrotnie procent od resztek posagu. Ustaliwszy w ten sposób historyą przeszłości, przejdźmy do twoich żądań na przyszłość. Czego sobie życzysz?

Wielohradzki.

Kapitału.

Stockfindel.

Na co?

Wielohradzki.

Chcę sobie stworzyć pozycyą! Zostanę dziennikarzem.

Stockfindel.

O ile słyszałem, na to trzeba coś robić.

Wielohradzki.

Ja już pisuję recenzye teatralne i literackie w Słoneczniku.

Stockfindel.

Patrzaj-że! że ja się od razu nie domyśliłem! to ten, co tak wymyśla wszystkim, to ty jesteś, mój zięciu?

Wielohradzki.

No, tak wszystkim nie wymyślam, tylko tym, których nie lubię.

Stockfindel.

Musisz nie wielu lubić! mniejsza o to. Zostałeś zatém dziennikarzem bez kapitału.

Wielohradzki.

Tak! ale chcę mieć dziennik własny! to mi dopiéro da pozycyą.

Stockfindel.

Jaką?

Wielohradzki.

Naczelnego redaktora! a przytém i teść zyskał-byś wpływy, poparcie dla swoich interesów. Szkodzić konkurentom, popierać swoich!...

Stockfindel.

Hem hę... Wiész co?... (*po namyśle*) nie!... obejdź-

my się bez dziennika; to-by znowu na moję kieszeń spadło. Wolę, żebyś sobie na cudzy rachunek wymyślał autorom i aktorom, niż żebyś mnie na mój koszt protegował. To-by znowu była za droga zabawka. Zresztą, w liberalnym organie ty-byś mnie szkodził, a w konserwatywnym ja tobie, a to-by mogło naruszyć naszę harmonią rodzinną. Zostańmy, jak jesteśmy.

Wielohradzki.

Ależ konserwatyzm uznaje wielkich finansistów.

Stockfindel.

Kto ich nie uznaje! Tylko ci czytający, to nie zawsze nas kochają.

Wielohradzki.

No, ale postępowi, którym nie chodzi o pochodzenie...

Stockfindel.

Co mi tam przyjdzie z radykałów! to są goli hołysze! Nie! mój zięciu, nie weźmiesz mnie na gazetę.

Wielohradzki.

To proszę o kapitał.

Stockfindel.

A ja odmawiam.

Wielohradzki.

Doprowadzisz pan do skandalu.

Stockfindel.

Słaby jestem.

Wielohradzki.

Mam długi! sprzedadzą mi ruchomości.

Stockfindel.

Wystąpię o wyłączenie z pod zajęcia, imieniem mojéj córki.

Wielohradzki.

Wsadzą mnie do więzienia za długi.

Stockfindel.

Będziemy cię odwiedzać co niedziela z żoną.

Wielohradzki.

Panie Stockfindel!

Stockfindel.

Widzisz, mój zięciu, ty piszesz o teatrze, ale ja zato przypominam sobie czasem sztuki, na których bywałem. Otóż, utkwiła mi w pamięci jedna: Zięć pana Poirier. Stary kupiec wydaje córkę za mąż za margrabiego i późniéj znosi różne od niego grubijaństwa i awantury, bo ma nadzieję, że zięć za jego pieniądze zrobi go parem Francyi. Czy ty możesz mnie zrobić parem Francyi? nie! To, co mogłeś, toś już dla mnie zrobił. Jestem dziadkiem małego Wielohradzkiego, a to jest wszystko, o co mi chodziło. Chciałbym się obéjść bez skandalów z tobą; ale, jak tego będzie potrzeba, odbiorę ci dziecko i żonę, a potém rób sobie, co ci się podoba.

Wielohradzki.

To jeszcze zobaczymy!

Stockfindel.

Nic nie zobaczymy! ty mi nic nie pokażesz, a ja ci nie pokażę moich pieniędzy! Widzisz, idzie doktor Hugo! zostaw mnie z nim; odbędę sobie małą konsultacyą, a ty idź do żony.

Wielohradzki.

Pójdę i zabiorę ją ztąd, zakazując jéj na przyszłość...

Stockfindel.

Nic jéj nie zakazuj! ona jest mądrzejsza od ciebie; wié co robić, inaczéj nie była-by moją córką.

SCENA V.

Stockfindel, Doktor Hugo, potém Limburg.

Stockfindel.

Dobrze, że tu jesteś, doktorze! miałem zaraz posyłać po ciebie! jestem słaby.

Hugo.

Pewno znów się pan przejadłeś.

Stockfindel.

Przejadłeś, przejadłeś! zawsze jedno i to samo! cóż to? ja nie mogę już na co innego chorować, tylko na przejedzenie? Już wszyscy w domu się ze mnie śmieją, że się tak głodzę, a pan, jak tylko czuję się słabym, mówisz „przejadłeś się".

Hugo.

Chcesz pan dostać apoplexyi?

Stockfindel.

Co za niesmaczne żarty!

Hugo.

To pan jedz! rano, w południe, wieczorem, na noc; zobaczysz pan, jakie będą skutki.

Stockfindel.

No! więc poco ja trzymam kucharza i to takiego, któremu tyle płacę?

Hugo.

Dla gości.

Stockfindel.

Gości, gości! Więc ja mam tylko patrzéć, jak moi goście jedzą?

Hugo.

Widzisz pan, kiedy ktoś, tak jak pan, sam dorobił się majątku, to prawdopodobnie za młodu jadał licho. Kto na starość zostaje smakoszem, kończy zwykle na cukrową chorobę, apoplexyą, lub coś w podobnym rodzaju. Jeśli panu tak pilno umrzéć, ja panu nie przeszkadzam; przejadaj się pan, irytuj, jak każdy bankier.

Stockfindel.

Ja-bym się nie irytował, żeby nie mój zięć.

Hugo.

Pocóżeś pan sobie takiego wybrał?

Stockfindel.

Kto? ja wybrałem! to Kor... Mniejsza o to! Niech będzie, że ja sam sobie; dość, że ja przez niego choruję.

Limburg *(wszedł na ostatnie słowa).*

Przez zięcia? to epidemiczne, bo ja téż choruję przez mojego.

Hugo.

No, moi panowie, darujcie, ale czegoż wy od nich chcecie?

Stockfindel.

Żeby nas nie zjadali.

Hugo.

Kiedy mają apetyt, a wy jesteście smaczni.

Limburg.

Żartuj pan zdrów!

Hugo.

A pocóż oni się żenią?

Limburg.

Żeby mieć żony.

Hugo.

I pieniądze! Dajcie im pieniędzy i wszystko będzie w porządku. Ja tylko, gdybym tak płacił, tobym lepiéj dobierał zięciów.

Stockfindel.

No! przecież Wielohradzki zbudowany na urząd.

Hugo.

Sangwinik! z takimi zawsze niebezpiecznie: jedna chwila i może być krach.

Stockfindel.

Krach? co pan mówisz! zaraz go zaasekuruję na życie.

Limburg.

A mój cóż?

Hugo.

Wycieńczony, chuchro!

Limburg.

Taki hrabia.

Hugo.

Hrabia nie hrabia, a to są wszystko angielskie wierzchowce, ale dychawiczne albo bez nóg. Szukajcie nazwisk, ale i ludzi zdrowych! mogli-by mieć trochę głowy i trochę serca w dodatku. No! ale to już wasza rzecz i waszych córek, moi panowie. Co do mnie, jako doktor, pragnął-bym od nich zdrowia, bo inaczéj młode pokolenie na nic się nie przyda.

Stockfindel.

No! przecie Wielohradzki ma nogi.

Limburg.

Pimbeche nie jest dychawiczny.

Hugo.

Phe, phe!

Limburg *(odciągając doktora).*

Słuchaj-no, doktorze, ja skorzystałem z twojéj rady i jakbym Lolę za mąż wydawał...

SCENA VI.

Ciż i Finger, Dormund potém Marya, Żelski, Elżbieta.

Finger *(wchodzi pod rękę z Dormundem).*

Kochany panie, co prawda, przyjechałeś trochę nie w porę. Przechodzimy teraz kryzys finansowy, stagnacya wszędzie! nie wątpię jednak, że pański interes da się zrobić! Potrzeba tylko w tym celu posiedzieć w Warszawie, pokręcić się tu pomiędzy nami, sprowadzić żonę i córeczkę.

Dormund.

A na cóż one także do interesu?

Finger.

Człowiek familijny zawsze budzi więcéj zaufania.

Marya *(do Stockfindla).*

Papo! uciekam z panem Żelskim! Jedziemy do hrabiny Gabryeli.

Stockfindel.

A cóżeś z mężem zrobiła?

Marya.

Zgubił mnie, jak zwykle. No, panie Żelski, czekam na Sigisbeja.

Żelski.

W téj chwili służę pani. *(do Dormunda)* Krewniaku, trzymaj się ostro! Zdaje mi się, że tu na ciebie polują.

Dormund.

Cóż znowu? tacy mili ludzie! tylko poco oni chcą mojéj żony i Zosi?

Elżbieta *(do Limburga).*

Prezesie! Zdaje mi się, że będziemy mieli coś nowego! kogoś godnego Loli.

Limburg.

Dobrze pani! Ale ja go każę wprzód obejrzéć przez doktora.

Stockfindel (*do siebie*).

Płuca i nogi, to Wielohradzki ma zdrowe napewno.

Koniec aktu piérwszego.

AKT II.

Ten sam pokój w mieszkaniu Korbiczowéj. Za podniesieniem zasłony, Korbiczowa, siedząc przy stoliku, czyta list.

SCENA PIÉRWSZA.

Elżbieta, Lokaj Limburga, potém Jan.

Elżbieta (*czyta list*).

„Rzecz ułożona! Przyślę Lolę z hrabiną około drugiéj, a potém sam przyjadę! Zastrzegam tylko doktora. *Tout à vous* Hannibal Limburg“. Nie podpisał, *et Compagnie*. (*Do lokaja*) Możesz odejść! odpowiedzi nie będzie. (*Lokaj wychodzi*). Już blizko piérwsza! przyjechał onegdaj i dotąd nie był. Może go Żelski uprzedził? Jeśli mu mówił o przeszłości... opowiedział, co wié o mnie!... Czyżem się tak zmieniła? Wszak mnie nie widział od dwóch lat! Nie! on przyjdzie! musi przyjść! Takich dni się nie zapomina tak łatwo, jak nasze Interlacken, lub Chillon. Był taki młody, tak wrażliwy!

Jan (*wchodzi*).

Elżbieta.

Ach nareszcie! pan Horski, wszak tak?

Jan.

Tak jest, jaśnie pani! Pan Stanisław Horski.

Elżbieta.

Proś! Niéma mnie w domu dla nikogo, prócz dla hrabiny Pimbeche i panny Limburg.

Jan.

Rozumiem, proszę jaśnie pani. (*Wychodzi*).

SCENA DRUGA.

Elżbieta, Horski.

Horski.

Elly... Pani... Proszę wierzyć, że bez listu nawet, był-bym tu natychmiast po przyjeździe, gdyby nie obawa, że pojawienie się moje w porze niewłaściwéj...

Elżbieta.

Przed dwoma laty, nie lękał-byś się pan niewłaściwéj pory! bądź pan spokojny jednak! nie będę panu ani wymawiać, ani przypominać przeszłości. Chciałam pana widziéć, nic w tém dziwnego; chciałam piérwsza uściskać dłoń twoję na powitanie w Warszawie; oto wszystko! Szwajcarya

daleko; dwa lata, to wieki, a awanturnicza Elly wyszła dziś na osobę tak poważną...

Horski.

Jakto? Naprawdę chcesz pani zapomnieć o tém, co ja do najpiękniejszych chwil w mojém życiu liczę?

Elżbieta.

Bo pańskie życie niedługie dotąd! gdy moje... jestem starszą od pana, niestety!

Horski.

Któż o tém mówi! zresztą tak niewiele!

Elżbieta.

Dwa lata temu istotnie niewiele byłam starszą, a raczéj byłam szaloną! dziś... nie mówmy o tém...

Horski.

Więc istotnie wszystko już zapomniane, pogrzebane w falach Brienzu i Lemanu?

Elżbieta.

Wszystko—nie! a dowód najlepszy, żem pana widzieć chciała! Siadaj tu przy mnie! pogwarzymy. Będziesz mnie pan uważał za swoję dobrą, poczciwą, starą przyjaciółkę! za starszą siostrę, któréj należy się szczerze spowiadać z grzechów młodości i o rozgrzeszenie prosić tak, jak żądać rady w trudnych okolicznościach życia. Na powiernicę i doradczynią mam kwalifikacye wielkie! No! opowiedz-że mi pan wszystko, co robiłeś przez te dwa lata?

Horski.

Gospodarowałem zawzięcie! Wiész pani, że po śmierci matki wyjechałem z kraju, zostawiając wszystko na łasce rządzcy. Po powrocie, przekonałem się, że jeśli regularnie na każde moje żądanie przysyłał mi pieniędzy, to również systematycznie, na mocy plenipotencyi, coraz nowemi długami hypotekę moich wiosek obciążał. Jeszcze lat parę podobnie nieopatrznego życia za granicą, a byłby mnie wykwitował ze wszystkiego! Na szczęście, ratunek był jeszcze możliwy! Wziąłem się do pracy energicznie, a choć jeszcze nie oczyściłem się zupełnie, mam nadzieję jednak, że wybrnę i utrzymam się przy rodzinnéj glebie. Naturalnie, że piérwszym do tego warunkiem była i pozostanie oszczędność! Zamknąłem się téż w domu i, od dwóch lat, po raz piérwszy puściłem się na dalszą wędrówkę aż tutaj.

Elżbieta.

Musisz pan miéć rozrywki w okolicy? przyjemne sąsiedztwa?

Horski.

Nie, pani! Prócz wujowstwa moich i kilku dalszych krewnych, nie mam prawie nikogo, a nawet na polowania dalsze, mimo zaproszeń, nie jeździłem.

Elżbieta.

Nie wytłómaczysz mi pan przecie, ażeby przez dwa lata i serce spało.

Horski.

Serce... serce żyło wspomnieniami Szwajcaryi

Elżbieta.

Pochlebco!... No! przyznaj się, że, przyprowadziwszy dom do porządku, myślisz o nowych dla niego lokatorach. Czy nie szukasz ptaszka do odrestaurowanéj klatki?

Horski.

Mówisz pani o małżeństwie? doprawdy...

Elżbieta.

A dla Boga! zapomniałam, że jestem wdową i gotów-eś pan pomyśléć!... No, nie lękaj się! mam ochotę cię swatać, ale nie ze sobą!

Horski.

Nie podejrzewałem pani o jakieś zamiary na mnie! Wiem, że byłem dla ciebie fantazyą, kaprysem chwilowym, który minął, jak mijają róże.

Elżbieta.

Poco ta obłuda między nami? czyż nie lepiéj tak dla mnie i dla pana, że w kielichu na dnie zostało jeszcze parę kropel wina, a nie żółć i rozgoryczenie! „Zdradziłeś mnie" „wiarołomny" „niewierna", to dobre do melodramatu, ale dla nas!... Panie Stanisławie, trzeba się ustatkować. Elly utonęła choćby w lodowiskach Lauterbrunen, rozpłynęła się w kroplistym pyle Schimmelbachu, ale została Elżbieta Korbicz, która pragnie, aby jéj przyjaciel, człowiek młody, piękny, z dobrém nazwiskiem i świetną inteligencyą, nie marniał na wiejskim zagonie w walce o urodzaj z pogodą i o kredyt z lichwiarzami, ale żeby, przy mojéj pomocy, wyszukał sobie odpowiedniéj żony.

Horski.

Jakaż to mania swatania rozwija się w pani!

Elżbieta (*podchwytując*).

Na starość.

Horski.

Czy wracamy do Chillonu?

Elżbieta.

Dzieciaku! przyjmiesz pan żonę, którą ci wybiorę?

Horski.

Pani! polskie przysłowie mówi, że sam Bóg żony przeznacza, a tylko złośliwy Rusin dodaje, że czasami czart się w to miesza.

Elżbieta.

Pańska wiara w przysłowia mało mnie obchodzi; daleko więcéj idzie mi tu o pańskie pojęcia towarzyskie i społeczne.

Horski.

Tego dobrze nie rozumiem, proszę o bardziéj kategoryczne badanie.

Elżbieta.

Jakie warunki stawił-byś pan dla swojéj przyszłéj żony?

Horski.

Jeden, jedyny, żeby mi się podobała... na żonę.

Elżbieta.

I nic więcéj?

Horski.

Sądzę, że to mieści w sobie wszystko.

Elżbieta.

A więc, jakże-by powinna wyglądać ta, któraby się miała panu podobać... na żonę?

Horski.

To przedmiot tak obszerny! Myślałem, że o czém inném rozmawiać będziemy.

Elżbieta.

Chcę pana skusić, jak Mefistofeles Fausta, i pokażę panu za chwilę Małgorzatę.

Horski.

Za zasłoną?

Elżbieta.

W nimbie milionów! wszak to panu nie przeszkadza?

Horski.

Piękną, młodą i bogatą!

Elżbieta.

I rozumną.

Horski.

A więc, szczęście Salomonowe! No, a gdzież napój czarodziejski?

Elżbieta.

Zbyteczny; chcę, abyś pan działał na trzeźwo.

Horski.

Brylant pani musi mieć skazy, bo inaczéj nie czekał-by mojego wypadkowego przyjazdu; tysiące rąk wyciągnęły-by się po niego.

Elżbieta.

Obniżasz pan swoję wartość; nie jesteś równy wszystkim; masz pan także szczęście Salomonowe: młodość, urodę, rozum, jesteś zamożnym i nosisz piękne nazwisko.

Horski.

Ach, nazwisko! rozumiem, panna X., piękna nieznajoma, jest?...

Elżbieta.

Córką bankiera! Czy pan masz uprzedzenie do córek bankierskich?

Horski.

Do córek nigdy; do ojców czasami.

Elżbieta.

No, a więc ja pana nie chcę żenić z ojcem, tylko z córką i...

Jan (*melduje*).

Pani hrabina Pimbeche z siostrą, pytają czy jaśnie pani przyjmuje?

Elżbieta.

Proś! (*Jan wychodzi*). Zapoznam pana z panną Limburg, na imię jéj Lola. Śliczne dziecko!

Horski.

Pani prosiłaś mnie na piérwszą... teraz druga; czy to było ułożone?

Elżbieta.

Najprzód pan zobacz, pytania na potém.

SCENA TRZECIA.

Elżbieta, Horski, Lola, Marya.

Marya.

Jak się masz, Elly! przyjechałyśmy wcześniéj z Lolą, bo papa... (*spostrzega Horskiego*) Ach!

Elżbieta (*przedstawiając*).

Pan Stanisław Horski, hrabina Pimbeche, panna Lola Limburg, młoda osoba równie złośliwa, jak ładna.

Lola.

Przeciwko złośliwości protestuję, a urodę moję sama w wątpliwość podajesz, gdy na nią zwracasz uwagę.

Elżbieta.

I najpiękniejszy towar trzeba zachwalać.

Lola.

Więc mnie masz na sprzedanie! A pan może jesteś nabywcą? Papa tak nas tu wyprawiał na śniadanie do ciebie, żebyśmy się śpieszyły! kazał mi się ubierać jak najgustowniéj!.. Panie! mam zaszczyt pana zapewnić, że jest mi w téj sukni bardzo do twarzy; ale w innych wyglądam o wiele gorzéj.

Marya.

No! czy to nie istny kozak, proszę pana?

Horski.

Wnosząc z tego, co słyszę, co najwyżéj, zaliczył-bym panią do kawaleryi... lekkiéj.

Lola.

Czy to alluzya do mojéj lekkości?

Horski.

Lekka kawalerya piérwsza występuje do utarczki; po bitwie goni nieprzyjaciela, ale w poważném starciu zwykle udziału nie bierze.

Lola.

W takim razie, ja się do niéj nie kwalifikuję! nie goniła-bym nigdy za nikim.

Horski.

Jeśli chodzi o zdobycie niewolników...

Lola.

Wzięci gwałtem nie mają wartości; ceniła-bym tylko takich, którzy sami się zdają na łaskę i niełaskę.

Horski.

A więc poddają się z góry, bez walki! w takim razie gdzież tryumf zwycięzcy?

Marya *(do Elżbiety na stronie).*

Zaczynają wcale nieźle.

Elżbieta *(do Maryi na stronie).*

Nie wiem, czy tylko nie nazbyt śmiało! Jakże ci się on podobał?

Marya *(jak wyżéj).*

Bardzo przystojny, nawet za piękny, jak na męża.

Elżbieta *(jak wyżéj).*

A na szwagra?

Lola.

No, przyznaj pan, że moja siostra miała racyą

i że muszę na panu robić wrażenie panny... jakżeby to grzecznie powiedziéć?... za śmiałéj!

Horski.

Wieśniak jestem, proszę pani, i we wszystkiém najwyżéj cenię prawdę, naturę i swobodę. Śmiałość również-by mi do gustu przypadła, o ile...

Lola.

O ile co?

Horski.

O ile-by była wynikiem usposobienia, darem natury, a nie manierą.

Lola.

Posądzasz mnie pan o pozowanie?

Horski.

O nic pani nie posądzam! Pytany, odpowiadam tylko.

Lola.

I dlaczegoż miała-bym grać przed panem komedyą? Czy dlatego, że, jak mi się wydaje, Elżbieta, czy mój ojciec, mają jakieś projekta na pana?

Horski.

A więc domyśliłaś się pani tego?

Lola.

Czy pan jesteś zrujnowany?

Horski.

Czyś pani już ostatecznie do ludzi rozczarowana? czy już nie wierzysz w nic i w nikogo?

Lola.

Wierzę, że bogate panny znajdują konkurentów.

Horski.

Musiałaś ich pani wielu odrzucić.

Lola.

Czy panu ani razu nie dano od kosza?

Horski.

Mógł-bym się dosyć długo jeszcze bawić mistyfikacyą pani, ale nie chcę nadużywać położenia. Nazwisko pani wymieniono po raz piérwszy przede mną chwil temu kilka; przyszedłem tu, wezwany listem do dawnéj znajomnéj, i nareszcie, sam z siebie jestem dość zamożnym, a małżeństwo z kimkolwiek przez głowę mi nawet nie przeszło. Czy dosyć?

Lola.

Bądź pan tak uprzejmym i popatrz mi chwilkę w oczy! *(Wpatruje się w Horskiego)* Dziwna rzecz! oczy pańskie są prawie uczciwe.

Horski.

Ach pani! w jakimże świecie pani żyjesz!

Lola.

W najbliższém otoczeniu mojego szwagra; znam także wielu przyjaciół i kolegów mojego ojca. Więc pan naprawdę nie masz na mnie żadnych zamiarów?

Horski.

I owszem, mam jeden.

Lola.

Ah!

Horski.

Przekonać panią, że są jeszcze ludzie, dla których pieniądz nie jest wszystkiém.

Lola.

A w cóż oni wierzą?

Horski.

W wiele rzeczy, w które, niestety, pani wierzyć nie nauczono.

Lola.

Czy pan nie pretendujesz do obowiązków mojego guwernera?

Horski.

Może-bym je przyjął, gdyby mi je pani sama ofiarowała, ale bez wynagrodzenia.

Lola.

Nic darmo nie biorę.

Horski.

A ja nie mam nic do sprzedania.

Lola.

Z kolei, ja spytam, gdzieżeś się pan chował?

Horski.

Przy ojcu, starym żołnierzu, i matce, kobiecie nie z dzisiejszych czasów.

Lola.

I wychowali pana na okaz przedpotopowy...

Marya *(do Elżbiety).*

Wiész, wcale nieźle im idzie! Jak na początek, to nawet zupełnie dobrze! Zdaje mi się jednak, że śniadanie w niczém-by im nie zaszkodziło, a ja jestem okropnie głodna.

Elżbieta *(jak wyżéj).*

Chciałam poczekać na prezesa, ale, przez wzgląd na twój apetyt, każę podawać zaraz. *(Dzwoni, Jan wchodzi.)* Podawać śniadanie.

Jan.

Proszę jaśnie pani, pan Dormund pyta, czy tu niéma jego siostrzeńca?

Elżbieta.

Proś pana Dormunda! a śniadanie podawaj swoją drogą. (*Jan wychodzi*).

SCENA CZWARTA.

Elżbieta, Horski, Marya, Lola,

potém Dormund.

Marya (*jak wyżéj*).

Cóż to za wujaszek? czy już do oświadczyn?

Elżbieta *(jak wyżéj).*

Nie wié o niczém; przyjechał załatwić jakieś interesa finansowe i dostał się w ręce Fingera.

Marya (*jak wyżéj*).

No, ten go urządzi.

Dormund (*wchodząc*).

Daruje pani, co ja może przeszkadzam! ale kazał mnie Staś czekać na siebie w hotelu, a że już druga biwszy...

Horski.

Przebacz, wujaszku! zapomniałem, żeśmy się umówili na dzisiaj; w domu pani tak się przyjemnie czas przepędza...

Dormund.

Ja ci też nie mam za złe, broń Boże, tylko sprzykrzyło mi się czekać w hotelu, tak i przyszedłem, wiedząc, że tu jesteś.

Elżbieta.

Skorzystam w téj sposobności, aby pana zatrzymać, razem z siostrzeńcem, na śniadanie.

Dormund.

A przyda się na głodny ząb! bo ja w téj Warszawie nie dojem i nie dośpię, a ciągle pan Finger mnie zwłóczy! Pisałem też wczoraj po żonę i córkę, bo sam nie dam rady.

Jan (*wchodzi*).

Jaśnie pani! śniadanie podane.

Elżbieta.

Proszę państwa! przejdziemy do jadalnego pokoju.

Horski.

Ja muszę panią pożegnać, mam interesa na mieście.

Dormund.

Jakto! wychodzisz? a ja chciałem korzystać z uprzejmości pani i przekąsić trochę.

Horski.

Mam obejrzéć maszyny w składzie. Za godzinę znajdzie mnie wuj w hotelu.

Dormund.

Ha! no to i dobrze. Choć niegrzecznie, to przeproszę panie i po jedzeniu zaraz tam przyjdę.

Lola (*do Horskiego*).

Czy pan uciekasz?

Horski (*do Loli*).

Ja nie uciekam nigdy! nie chcę tylko usprawiedliwiać domysłów pani.

Lola (*jak wyżéj*).

A jeśli przyznam, żem się pomyliła.

Horski (*jak wyżéj*).

Popełnisz pani błąd, bo z kolei zachwiejesz wiarę w szczerość tego, coś mówiła poprzednio.

Lola (*jak wyżéj*).

To słuszne! nie zatrzymuję pana. Może się jeszcze spotkamy.

Elżbieta (*do Horskiego*).

Jakto? nie chcesz nam pan poświęcić pół godzinki czasu?

Horski.

Nie mogę; zajęć mam dużo, jak zwykle wieśniak w mieście.

Elżbieta (*jak wyżéj na stronie*).

Więc się panu nie podobała?

Horski (*do Elżbiety*).

Przeciwnie! mam téż żal do pani, żeś mi w jéj oczach wstrętną kazała odgrywać rolę.

Elżbieta (*jak wyżéj*).

Jakto! gniewasz się pan? Panie Stanisławie, jam na to nie zasłużyła.

Horski (*jak wyżéj*).

Wierzę, że zrobiłaś to pani bez rozmysłu i dla tego téż tylko... do widzenia. (*Głośno*) Panie pozwolą się pożegnać! Do widzenia, wujaszku, za godzinę. (*Wychodzi*).

Marya (*do Elżbiety*).

Cóż to, on ucieka? dziwny konkurent!

Elżbieta (*do Maryi*).

Ale powróci, bądź spokojna. (*Głośno*) No, panie Dormund, podaj ramię hrabinie, i przejdziemy na śniadanie.

Dormund.

Z największą przyjemnością. (*Podaje ramię Maryi, z którą wychodzą na lewo*).

Lola.

Dlaczego nie powiedziałaś mi, że to inny człowiek, niż tamci? że on o niczém nie wié?

Elżbieta.

Bo-byś mu się wydała zwyczajną, a tak, uderzyłaś go oryginalnością. Wyszedł podrażniony, a takie rozdrażnienie zawsze się dobrze kończy.

Bądź spokojna, ja się znam na tém; powróci, łagodny jak baranek,

Lola.

Kto to wié!

Elżbieta.

Ręczę ci za niego! zrobiłaś na nim wrażenie ogromne! A on, jakże ci się wydał?

Lola.

Nie wiem; chodzi mi o to, jak ja się jemu wydałam.

Elżbieta.

To dobry znak! zdaje mi się, że się porozumiecie! No, chodźmy na śniadanie. (*Wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

Limburg, Dr Hugo.

Dr Hugo.

Ależ przy najlepszéj woli z mojéj strony, to się tak łatwo zrobić nie da.

Limburg.

Jak to nie da? co to jest nie da? przecież nie chodzi o to, abyś go doktor oglądał tak dokumentnie! Zobacz go pan tylko powierzchownie i powiesz mi, czy nie suchotnik, albo wątrobiany? to przecie odrazu widać! Przy okazyi, spytasz go się konsyliarz o serce i żołądek; no, a już z resztą to zdam się na los.

Dr Hugo.

Bój się Boga,[1] mój prezesie, jakże tak można badać nieznanego człowieka!

Limburg.

Co to jest nieznanego, kiedy on ma być moim zięciem? Jesteś pan, czy nie jesteś naszym lekarzem domowym?

Dr Hugo.

No, jestem! ale...

Limburg.

Więc jeśli pan jesteś, to musisz leczyć wszystkich, którzy należą do naszéj familii! On ma do niéj należeć, więc go pan zobacz! to leży w pańskich obowiązkach! Zresztą, to już wszystko ułożone! Korbiczowa wié o tém i czeka pana! On tam jest sam z mojemi córkami! Jedzą śniadanie. Pan zjesz z nimi, a żeś mnie dyetę nakazał, to zjedz i moję porcyą, a jak tu potém wrócę, żeby się z nim poznać, to mi powiesz swoje o nim zdanie.

Dr Hugo.

No! jeśli ja myślałem, że będę wypełniał podobne obowiązki!... dawać opinią o kwalifikacyach na zięcia!

Limburg.

Lepiéj, niż potém dopomagać do rozwodu!

Dr Hugo.

Ha! skoro pan chcesz koniecznie, idę jeść śniadanie! Więc on tam jest napewno, sam? żebym się nie pomylił.

Limburg.

Nie, nie może być pomyłki, bądź pan spokojny! Jeżeli można, rozmów się pan z nim trochę na osobności i wybadaj go dokładniéj. No! do widzenia.

Dr Hugo.

Do widzenia! (*Hugo idzie na lewo, Limburg ku drzwiom w głębi, w których spotyka Pimbeche'a*).

SCENA SZÓSTA.

Limburg, Pimbeche.

Pimbeche.

Przepraszam pana, czy tu niéma mojéj żony?

Limburg.

A to ty, mój zięciu! w porę przychodzisz.

Pimbeche.

To papa teść! w pośpiechu nie dojrzałem! Czy Marya jest tutaj? zostawiła mi kartkę, że będzie tu na śniadaniu.

Limburg.

Ale ty nie zostawiłeś jéj kartki, że, wyszedłszy wczoraj z domu, dopiéro dziś po południu powrócisz.

Pimbeche.

Jeździłem na kolej! Przejeżdżał Marokanin, chciałem go widziéć w drodze, jako konsul, tymczasem spóźniłem się na pociąg i pojechał daléj.

Limburg.

Mój kochany! ja od tylu lat jestem konsulem Chilijskim, a jeszczem żadnego Chilijczyka nie widział i dobrze mi z tém! Cóż ty swoich Marokanów potrzebujesz oglądać tak gwałtownie?

Pimbeche.

Chciałem mu przyłożyć wizę! Niech nie mówią, że jestem konsulem od parady.

Limburg.

Wizę przykładać po nocy!.... mniejsza o to! Siadaj no tu, chciał-bym cię o coś spytać.

Pimbeche (*do siebie*).

Pewno o dom. Dobrze się wybrał!

Limburg.

Znasz ty, hrabio, rodzinę Horskich?

Pimbeche.

Horscy, herbu Gryf? znam.

Limburg.

To stary ród?

Pimbeche.

Ho, ho! wywodzą się od Gedymina.

Limburg.

Od Gedymina! Patrzaj! I tak krótko się nazywają! Więc to jest wielka rodzina? skoligacona?

Pimbeche.

Ze wszystkimi.

Limburg.

No, ze mną dotąd nie, ale może będzie!

Pimbeche.

Cóż to, małżeństwo?

Limburg.

Są pewne projekta na Lolę i chciał-bym właśnie, żebyś mi w tém dopomógł, jako mój zięć.

Pimbeche.

Z przyjemnością; o cóż to chodzi?

Limburg.

Przedewszystkiém znasz go? Na imię mu Stanisław.

Pimbeche.

Nie znam. A! Stanisław?... zaraz! był tu jakiś Staś Horski w Warszawie przed kilku laty. Trzymał się Żelskiego: on go w świat wprowadzał. Ale to zupełnie młody człowiek i przystojny... Jeśli ten sam, to z tego nic nie będzie.

Limburg.

A toż dlaczego?

Pimbeche.

Bo on podobno zamożny.

Limburg.

Cóż to? Czy ja mam koniecznie córki wydawać za bankrutów i przestarzałych birbantów?

Pimbeche.

Niby... tak-by się zdawało.

Limburg.

Mój kochany, co ty gadasz! Uważaj, że sam jesteś moim zięciem, a przecież tak na ostatecznego niedołęgę jeszcze nie wyglądasz i jesteś hrabią.

Pimbeche.

A tak! jestem hrabią i na niedołęgę nie wyglądam! Oho, z moją krewkością.

Limburg.

O téj krewkości to tam szeroko-by można mówić.

Pimbeche.

Papo teściu! wszystko pozwalam kwestyonować — ale mój temperament!...

Limburg.

Zostawmy w pokoju twój temperament, mówmy o Horskim! On jest tam z twoją żoną i z Lolą. Korbiczowa prowadzi cały ten interes! Wiész? tak, jak twój!

Pimbeche.

Jak mój. (*Nuci*)

„Od regenta do ołtarza“.

Limburg.

Bądź-że poważny.

Pimbeche.

Ja zawsze jestem poważny. (*Nuci*)

„Są moraliści, których cała cnota...“

Limburg.

Czy ty przestaniesz z temi operetkami! Koniec końców, chciał-bym, żebyś się z nim poznał, albo mu się przypomniał, jeśliście się już znali; no i żebyś mi ułatwił te wszystkie historye, na które ja czasu nie mam wcale! Ach! co to za kłopot z tymi zięciami

Pimbeche.

Na mnie nie możesz się skarżyć.

Limburg.

Gdybyś nie był hrabią, miał-bym dużo o tém

do powiedzenia! Ja teraz jadę na posiedzenie banku, wrócę tu za małą godzinkę. Pomyśl no o tém, com ci mówił! a może ułożycie z Maryą jakiś obiad, czy wieczór. Trzeba-by sprosić ludzi, nadać temu jakąś cechę uroczystą.

Pimbeche (*nuci*)

„Wspaniałość mém godłem, mym majątkiem cnota".

Limburg (*do siebie*).

Zupełna katarynka. (*Głośno*) Przypomnij-że sobie, że jesteś hrabia Pimbeche, zięć prezesa Limburga; że mojemu i swojemu nazwisku jesteś coś winien, że dług ten...

Pimbeche.

Proszę cię, papo teściu, nie mówmy o długach!

Limburg.

Cierpliwości braknie! No idź-że tam i zajmij się tym Horskim.

Pimbeche.

Zaraz idę. Urządzimy mu festyn, rozumié się na twój koszt, papo teściu!

Limburg.

Niech będzie i na mój koszt, tylko idź już. (*Wychodząc*) O córki, córki! Co wy nas kosztujecie! (*Wychodzi*).

SCENA SIÓDMA.

Pimbeche, potém **Żelski**, **Finger**.

Pimbeche.

A o domu ani słowa! widać nie wié jeszcze?

Jaki się hojny zrobił! festyn na jego koszt, i ani się skrzywił. Przy téj okazyi, polikwiduję mu balik u Kloci. Co to balik! to za mało! Niech i jéj toaletę zapłaci! (*Nuci*)

„Bez kobiet, bez kobiet, to życie jest bez duszy“.

Żelski.

Jakto jest w „Zemście“? Wszak mówiłem, albo koty, albo Pimbeche nam się zjawił.

Finger.

Bój się Boga, hrabio, oszczędzaj głosu.

Pimbeche.

Mam go podostatkiem! tylko katar mnie trapi! Co słychać dobrego, panie Finger?

Finger.

Wszystko źle! jak tak daléj pójdzie, wymrzemy wszyscy na chorobę cukrową.

Żelski.

Nic wam nie będzie! macie żelazne zdrowie.

Finger.

Aha, mów mi pan o żelazie! Goldsilber bankrut zupełny! właśnie na żelazie wywinął koziołka.

Żelski.

Musiało być gładko wypolerowane, bo mu jakoś koziołek nie bardzo zaszkodził. Widziałem go wczoraj w ślicznym ekwipażu, konie przepyszne, mina znakomita!

Finger.

No, to człowiek staréj daty! upada jak Rzy-

mianin, z uśmiechem na ustach, i przykrywa się togą.

Pimbeche.

Togą! Goldsilber Rzymianin! można umrzéć ze śmiechu! Choć, co prawda, on miał nos rzymski, taki! (*Nuci*)

Ach co za nos, jaki nos!

Finger (*do Żelskiego, pokazując Pimbeche'a*).

No! powiedz pan, i to za takich my płacimy, na zięciów.

Żelski (*do Fingera*).

A któż wam każe kupować!

Finger.

Widzi pan, człowiek, który wyrósł z tego społeczeństwa, poczuwa się do pewnych względem niego obowiązków! Oni chcą podtrzymać stare rody, odżywić je nowemi sokami! Na drugą stronę są tacy, których majątek nie zawsze ma czyste źródło, chcą się nimi pokryć. Innym zarzucają brak patryotyzmu, charakter więcéj kosmopolityczny!

Żelski.

Zdaje mi się, że to ostatnie pana spotykało, i że kiedyś, dawniéj, aby tym wieściom kłam zadać, coś około dwudziestu lat temu, chciałeś pan zmienić swoje nazwisko z Fingera na Paluszkiewicza. Przekład był prawie dosłowny. Z ubiegiem czasu zaniechałeś pan téj myśli.

Finger.

Poco to, proszę pana! Naco to manifestować,

jeśli się człowiek w duszy czuje Polakiem. Zresztą byłem wtedy tak młodym!

Żelski.

I na dorobku. Dziś odeszły te mrzonki! jesteś pan człowiekiem pozytywnym.

Finger.

Tylko bardzo osamotnionym! Miałem żonę, starszą od siebie; wniosła mi znaczny posag! Nie wszystko jest łatwe na świecie! Dziś, dzięki Bogu, pieniądze są, ale chciałbym mieć przy sobie stworzenie młode, piękne, dystyngowane...

Żelski.

Chcesz się pan żenić?

Finger.

Gdyby można odpowiednio!

Żelski.

Stockfindel ma dwie córki! znam jeszcze parę innych...

Finger.

Nie, nie! nie w téj sferze! Ja-bym chciał pannę inaczéj wychowaną, w dobréj tradycyi rodzinnéj, ze wsi! Nie masz to, jak nasze dworki wiejskie pod względem cnoty, zasad moralnych. Czy pan znasz pannę Dormund?

Żelski (*do siebie*).

Aha! tędy droga! (*Głośno*) Nie panie, nie znam, ale...

Pimbeche.

Posłuchaj-no, Józiu, jeśli się nie mylę, toś ty przed paru laty szaperonował tutaj Stasia Horskiego?

Żelski.

No, tak! właśnie bawi w Warszawie.

Pimbeche.

Także mi nowina! on jest tam z moją żoną i panną Lolą! Korbiczowa coś tam układa! Zrób mi tę grzeczność i zapoznaj mnie z nim.

Żelski.

Co! on jest i pani Korbiczowa wzięła go w opiekę? brawo! i ja chcę być na tych godach! Służę ci, hrabio, zapoznam cię ze Stasiem. Daruj mi, panie Finger! Panny Dormund jeszcze niéma w Warszawie, a tu sprawa pilniejsza załatwia się pod bokiem!

Finger.

Będziesz pan robił konkurencyą Korbiczowéj?

Żelski.

Kto wié, może!

Finger.

Pójdę i ja to zobaczyć!

Pimbeche.

No, chodźmy. (*Nuci*)

„Naprzód, panowie! śmiało, panowie!“

(*Wychodzą*).

SCENA ÓSMA.

Dormund, Dr Hugo, (*wchodzą drzwiami z lewéj*).

Dormund.

Dobra tu kuchnia u téj pani! podjadłem sobie, aż miło! takie śniadanie za dobry obiad starczy! Pan pozwoli, co ja pożegnam, bo na mnie czeka siostrzeniec.

Dr Hugo.

Pan dobrodziéj nie czuje się znużonym po jedzeniu?

Dormund

Nie; albo co?

Dr Hugo.

Nic, tak się pytam. Są osoby, które doświadczają pewnéj ociężałości po obiedzie.

Dormund.

Ja nie, dzięki Bogu!

Dr Hugo.

A w nogach, tak, pewnego osłabienia pan nie czujesz?

Dormund.

Gdzieże! ja chodzę po polu cały dzień czasem! Ale zkąd mnie pan pyta o to? Czy pan konsyliarz zauważyłeś jaką złą symptomę na mnie?

Dr Hugo.

Nie! widzi pan, już taka natura lekarza! zawsze musi badać, examinować...

Dormund.

Panie konsyliarzu, mów szczerze! może co jest? Pamiętam, że onegdaj miałem dreszcze!

Dr Hugo.

Dreszcze! ale gorączki nie było?

Dormund.

Kto to wié? może febra się wraca! zobacz pan puls z łaski swojéj.

Dr Hugo.

Puls dobry. A trawienie regularne?

Dormund.

Jak zegarek.

Dr Hugo.

Kaszlu, duszności, niéma?

Dormund.

Czyżby astma? zobacz pan!...

Dr Hugo.

Płuca zdrowe. Ale w nogach żadnego osłabienia?

Dormund.

No, czasem bolą, jak się schodzę! Ale chyba na wodną puchlinę to nie wyglądam?

Dr Hugo.

Nie, bądź pan spokojny!

Dormund.

Chwała Bogu! odetchnąłem.

Dr Hugo.

A głowa nie boliwa!... migren, zawrotów niéma?

Dormund.

Jak żyję, nie znam tego!

Dr Hugo.

No a... (*szepce mu do ucha*).

Dormund.

At! cóż znowu!...

Dr Hugo.

Jakto, wcale?

Dormund.

Zdarzy się od czasu do czasu!

Dr Hugo.

A ileż pan dobrodziéj lat sobie liczy?

Dormund.

Ja? pięćdziesiąt cztery.

Dr Hugo (*n. s.*)

Tam do dyabła! zwaryował Limburg!

Dormund.

No i cóż pan konsyliarz mówi o mnie? czy co nie grozi?

Dr Hugo.

Ależ nie! bądź pan spokojny! na te lata, jesteś pan doskonale zakonserwowany.

Dormund.

Chwała Bogu! tak ja idę do Stasia! Ale nic mi nie jest na pewno?

Dr Hugo.

Na pewno! na pewno! *(Dormund wychodzi).*

SCENA DZIEWIĄTA.

Dr Hugo sam, potém **Limburg.**

Dr Hugo.

Koniec świata! Żebym na własne oczy nie widział, tobym nie uwierzył! taka poczciwa fizyognomia i chce mu się w tym wieku na handel puszczać! Późniéj się dziwią, że małżeństwa są źle dobrane! Dziewczyna młoda, przystojna, pełna życia, energii, a tu... dziad stary! ładna będzie para, niéma co mówić!

Limburg.

No, cóż, doktorze? poznałeś go? jak ci się podobał?

Dr Hugo.

A bardzo, bardzo!

Limburg.

Zdrów?

Dr Hugo.

Zdrów zupełnie!

Limburg.

Żył może trochę za dużo, tak jak Pimbeche?

Dr Hugo.

Nie, przeciwnie! jak na swój wiek, to nieźle zakonserwowany!

Limburg.

Jakto na swój wiek! Korbiczowa mówiła, że zupełnie młody człowiek.

Dr Hugo.

Ha, nie wiem, jak ona lata liczy.

Limburg.

Podobno niéma trzydziestu!

Dr Hugo.

Mnie mówił inaczéj: przyznaje się do pięćdziesiątki z okładem.

Limburg.

Przesłyszałeś się chyba! W takim wieku! Cóż znowu? Także-by mi był zięć!

Dr Hugo.

Ja też właśnie dziwiłem się.

Limburg.

Podobno pochodzi od Gedymina, ale niech-by go tam dyabli i z Gedyminem wzięli! Pimbeche jest znacznie młodszy, a...

Dr Hugo.

Też nie wiele wart!

Limburg.

Musiałeś się pomylić, doktorze! A jakże wygląda?

Dr Hugo.

Szpakowaty.

Limburg.

Czasem tak siwieją ludzie wcześnie. Ale jędrny, rzeźki?

Dr Hugo.

Nie bardzo.

Limburg.

To musi być jakieś nieporozumienie, albo baba zwaryowała!

Dr Hugo.

Że tu ktoś zwaryował, to i ja przypuszczałem!

Limburg.

Jest on tu jeszcze? pójdę i zaraz zobaczę.

Dr Hugo.

Nie, już wyszedł.

Limburg.

No, to Lola mi powié...

SCENA DZIESIĄTA.

Ciż i Elżbieta, Marya, Lola, Żelski, Pimbeche, Finger.

Pimbeche *do Maryi.*

Żonusiu, jak cię kocham, chciałem mu przyłożyć wizę.

Żelski *do Loli.*

Więc zajął panią ten piękny nieznajomy?

Lola.

Nie pretendujesz pan o mój posag, więc i serce moje zostaw pan w spokoju.

Żelski *do Elżbiety.*

Jak pani widzi, jestem uwiądomiony o wszystkiém! A teraz z kolei, ja ostrzegam, że będę go bronił do ostatka.

Elżbieta.

Probuj pan! ale zatruta strzała już rzucona.

Żelski.

Mam przeczucie, że znajdę antydot.

Limburg *(podchodzi do Elżbiety i odprowadza ją na bok).*

Pani! coś pani mi za męża znalazła dla Loli? Piękny zięć dla mnie!

Elżbieta.

Z pewnością najlepszy, jakiego mićć można; każdy go panu pozazdrości!

Limburg.

Co? każdy go pozazdrości! Co pani mówi?

Elżbieta.

Spytaj pan Loli. Lolu! *(Lola podchodzi do nich).* Twój ojciec ma wątpliwość co do pana Horskiego! Powiedz-że mu, jak się przedstawia?

Lola.

Tego zaprzeczyć nie mogę, że przystojny..

Limburg.

No, ale stary,

Elżbieta.

Kto to panu powiedział?

Limburg.

Doktor! Doktorze, chodź-że tu! Powiedz-że, czyś mi nie mówił, że on stary!

Dr Hugo.

Ja mówiłem. No, bo jeśli się pani podoba... teraz gusta są tak dziwne! Może on i młody, choć mówił mi...

Elżbieta.

Kto, kiedy?

Dr Hugo.

On, tu, przed chwilą.

Elżbieta.

Ależ pan go tu nie zastałeś! wyszedł już wtedy...

Dr Hugo.

A z kim-że ja rozmawiałem? Któż był na śniadaniu?

Elżbieta.

Stary Dormund! to jego wuj.

Limburg.

A, wiész doktorze, to ci się udało!

Dr Hugo.

A cóż pan chcesz? wuja wziąłem za siostrzeńca! Nic dziwnego, tak teraz konkurentów dobieracie, że pomylić się łatwo.

Koniec aktu drugiego.

AKT III.

Salon u Pimbeche'ów, przedzielony kolumnadą od dalszych. Drzwi z prawéj i z lewéj. Umeblowanie pałacowe. Z przodu kozetki, daléj stoliki do kart. Na piérwszym planie z lewéj, wielkie *trumeau*. Od początku do końca aktu, gra muzyka za sceną, z małemi przerwami: polki, walce i kadryle.

SCENA PIÉRWSZA.

Elżbieta, Żelski.

Elżbieta.

Więc wojna?

Żelski.

Wojna!

Elżbieta.

Tak, na śmierć i życie?!

Żelski.

Aż do zwrotu zakładnika.

Elżbieta.

Ha, ha! jaki pan jesteś naiwny! Nie czujesz pan, że sprawa twoja jest z góry przegrana? On blondyn, ona brunetka, oboje piękni, młodzi i ona ma miliony. I pan to chcesz rozerwać? Czy myślisz, że choć na chwilę straciłam pana z oczu, że nie znam wszystkich wysiłków, jakich użyłeś, aby go powstrzymać i na wieś wyprawić z powrotem? Czarne oczy Loli przemogły! Bo też ile tam ognia! Idź pan daléj, rób swoje, oblewaj

go zimną wodą, my się pana nic a nic nie boimy! A wiész pan, jaki będzie skutek pańskiéj kontragitacyi? Oto Horski zacznie pana podejrzewać, że sam ostrzyłeś zęby na królewski kąsek, którego panu odmówiono!

Żelski.

Jakto! poszła-byś pani aż tak daleko?

Elżbieta.

Ja gram z panem w odkryte karty i przyznaję się, że zrobię wszystko, aby ten związek doprowadzić do skutku! Nie cofnę się przed niczém.

Żelski.

Nawet przed... jakżeby to grzecznie powiedzieć?.. przed niewinną ploteczką o mnie?

Elżbieta.

Nawet przed kłamstwem; możesz pan użyć tego wyrażenia, pozwalam!

Żelski.

I dlaczego pani tak chodzi specyalnie o to małżeństwo? Skojarzyłaś ich już pani tyle...

Elżbieta.

Powiedziałam już panu, że gram w odkryte karty, będę zatém szczerą. Ja kochałam tego człowieka.

Żelski.

Pani kochałaś! ha, ha, ha!

Elżbieta.

Śmiéj się pan, pozwalam i na to! A jednak

powtarzam: kochałam go! Był to sen, marzenie, i trwało tyle, ile trwają sny! Zbudziłam się rozczarowana nie do niego, ale do siebie. Spytaj mnie pan dziś, czy go kocham, czy nienawidzę... nie wiem! Ale to wiem, że musi być mężem téj, którą ja mu wybrałam, bo jego małżeństwa z inną ja-bym nie przeniosła. Wytłómacz pan to, badaj jak chcesz, ja sama tego nie rozumiem. Nie jestem zazdrosna, kiedy widzę budzącą się namiętność jego dla niéj, a czuję, że każdą inną na jéj miejscu gotowa-bym zamordować! Czy to przeczucie, że on z nią będzie nieszczęśliwym, czy wiara, że ona działa tylko na jego zmysły a nie na serce, ja nie wiem. Wierz mi pan, to małżeństwo nie jest wynikiem moich interesów, jest potrzebą moich uczuć. I strzeż się pan! Biada temu, kto mi w drogę wejdzie.

Żelski.

Nawet pani groźby nie przeraziły-by mnie, choć wcale pani nie lekceważę, jako przeciwnika. Zato istotnie, o ile pani mówisz prawdę, umiem sobie wytłómaczyć uczucia pani! Liczysz pani na to, że Horski, nasyciwszy piérwszy ogień namiętności, powróci do ciebie po radę, pociechę, napół przyjaciel, napół... Może się pani i nie mylisz. Bądź-co-bądź, istotnie pozycyą mam prawie za straconą, jeśli Opatrzność nie ześle mi jakiegoś sprzymierzeńca, z siłą, równą magnesowi oczu téj dziewczyny; bo nie mogę zaprzeczyć, że ona ma piekielnie ogniste oczy. Można dla nich szaléć, na długo!

Elżbieta.

Zręczny z pana przeciwnik! chcesz pan podnie-

cić moję zazdrość! to się panu nie uda. Ale co pan masz w tém, żeby nam przeszkadzać?

Żelski.

Liebe der Menschlichkeit.

Elżbieta.

A d'autres.

Żelski.

Nie wierzysz pani! A więc... nie lubię małżeństw mieszanych z zasady w ogólności, a co do Horskiego, to wydaje mi się to po prostu potwornóm. Uważam go za człowieka, którego ciągną w przepaść; obojętnego nawet ratował-bym w téj sytuacyi, a cóż dopiéro młodego chłopca, do którego mam przywiązanie starszego brata. To dusza młoda, poetyczna, nie przetrawiona mętami naszéj cuchnącéj atmosfery. Przypuszczam, że szalał trochę za panią... na wsi ochłonął. Gdyby trafił na dobrą żonę, urobił-by się na dzielnego człowieka, ma po temu warunki. Nieszczęśliwy w życiu domowém, wprowadzony w towarzystwo, które ceni człowieka jedyną miarą milionów, okraszoną zwojem zbutwiałych pergaminów, istotnie może wróci do pani; ale wtedy taki już będzie do innych podobny, iż sama się zdziwisz, żeś go odróżniać mogła. Otóż ja chciałem go od tego obronić, i coraz mniéj mam nadziei, żeby mi się udało. Będzie z niego za lat parę Wielohradzki, Pimbeche, albo hrabia Janusz.

Elżbieta.

Nie, bo on się ożeni z miłości.

Żelski.

Która zniknie, bo zniknąć musi w tém otoczeniu! i skończy się zawsze sporem teścia z zięciem o... pieniądze.

Elżbieta.

Przyrzekam panu, że ja wtedy stanę po jego stronie.

Żelski.

Dobrze pani! drwij, natrząsaj się ze mnie, urągaj! masz pani wszystkie atuty w ręku, ale jeszcześmy od gry nie wstali.

Elżbieta.

A więc przyzywaj pan na pomoc niebieskie i piekielne potęgi. No, daléj, graczu nieszczęśliwy! Ja idę do sali, rób pan tu zaklęcia! Samielu, przybywaj! Asmodeusz także jest dyabłem miłości i gry! Wezwij pan tego ducha ciemności! może jest w drodze i spóźnia się tylko, bo go malują kulawym! Do widzenia! jak się zjawi, daj mi pan znać. (*Wychodzi.*)

SCENA DRUGA.

Żelski, Dormund, Zofia.

Żelski.

A! żebym ci mógł go wydrzeć, dałbym za to... ba, jestem w towarzystwie bankierów!... przelicytują mnie. Gdyby to był zwyczajny „nasz zięć“, rozgłosił-bym, że Limburg bankrutuje i ulotnił-by się, jak kamfora; ale jego taka wieść jeszcze-by

bardziéj do niéj przykuła. Jaki jest sposób oderwania młodego chłopca od ładnéj kobiety? Znam jeden tylko: drugą ładną kobietę. Tak, ale zkąd ją wziąć?

Dormund (*do Zofii za sceną*).

A gdzieże się pchać w taki tłum! (*Wchodzi z Zofią*). Chodź, dziecko, spoczniemy tutaj, póki nie przetańczą. Widzisz, mówiłem, śpiesz się z ubraniem, a tyś się guzdrała i ot co jest.

Zofia.

Jam temu nie winna, tateczko, że mi z magazynu tak późno suknią przynieśli.

Żelski.

Dormund sprowadził córkę! O, jakaż piękna! Czyżby dyabeł kulawy tym razem zjawił się w porę?

Dormund.

No, już ja wiem, że wy z tém ubraniem jak zaczniecie... (*spostrzega Żelskiego*) A! pan Józef tutaj. Masz szczęście, Zosiu: na piérwszym wstępie spotykamy krewniaka! Pan Żelski, widzisz, jest nasz krewny. Ta moja ciotka, a twoja babka cioteczna, Pokrzyłło z domu, była za Wojszwiłłem, którego brat stryjeczny był żonaty... A z kimże to on był żonaty?...

Żelski (*do Zofii*).

Zanim ojciec przypomni sobie całą genealogią, czy zechce pani uznać prawa moje do kuzynowstwa za dowiedzione, tak, abym je natychmiast mógł wykonywać?

Zofia.

Jeżeli mi one zjednają opiekuna i przewodnika w obcém towarzystwie, uznam je z przyjemnością. Mama wyprawiła mnie do Warszawy w towarzystwie naszéj sąsiadki, bo sama słaba i nie chciała zostawiać gospodarstwa bez opieki, a tatko pisał ciągle, że mu tęskno i nudno; lękałyśmy się nawet, czy nie chory. Tymczasem zastałam tu tatkę w ciągłych wizytach, festynach, balach, czegośmy się najmniéj spodziewały. Ja nie byłam na to wcale przygotowaną. Dziś piérwszy raz w życiu jestem na balu; wyobraź pan sobie, jaką muszę mieć „tremę“.

Żelski.

Czegoż się pani lęka?

Zofia.

Ah, mój Boże! wszystkiego. Poczynając od sukni, którą niedawno przynieśli mi z magazynu, wszystko tu jest dla mnie nowém i nieznaném. Ja sama sobie wydaję się jakąś zmienioną, inną, prawie obcą osobą. Ah, pozwól pan! widzę tu wielkie lustro! nie miałam tego w hotelu! Muszę się przypatrzyć sobie i nauczyć ruszać w nowém ubraniu.

Żelski.

Młoda panienka w sukni balowéj jest, jak ryba w stawie.

Zofia.

Czy pan znajdujesz, że mi w niéj do twarzy? Powiedz pan szczerze z tytułu pokrewieństwa.

Żelski.

Z tytułu mającego oczy, zapewniam panią, że wyglądasz zachwycająco. Zresztą sama to pani widzisz! Najlepszym dowodem ten uśmieszek, który odbija się tak ślicznie w źwierciedle.

Dormund.

Aha, przypomniałem! Wojszwiłł nie był żonaty z Pokrzyłłówną, tylko Banasiewicz, jego brat cioteczny, miał Krygielewiczównę...

Żelski.

Krygielewiczównę czy nie Krygielewiczównę, mniejsza mi tam o to! dość, że jestem krewnym pani i od tego nie odstępuję.

Dormund.

A któż o tém mówi! Nawet poręczniéj mi będzie, że ją wprowadzisz na salę, a ja pójdę za wami! Myślałem już przez lokaja kazać wywołać Stasia, ale kiedyś ty się zjawił, to i prowadź.

Żelski.

Chwilkę jeszcze, niech tańczyć przestaną, bobyśmy się tam nie dostali, a raczéj toaleta pani ucierpiała-by na świeżości! Trzeba szanować piérwszą suknią balową.

Zofia.

Dziękuję panu! Zresztą nie znam nikogo i musiała-bym sprzedawać pietruszkę, jak się to mówi po krakowsku o pannach, które nie mają szczęścia do tancerzy.

Żelski.

Bądź pani spokojna, nie będziemy sprzedawać

pietruszki! Wszak oprócz mnie znajdzie pani kuzynka, Stasia Horskiego. (*Do siebie*) Probujmy wstępnego ataku. (*Głośno*) Tylko, że on bardzo zajęty.

Zofia.

Jak to zajęty, na balu! tańcem?

Żelski.

Nie.

Zofia.

Więc czémże?

Żelski.

Czarnemi oczyma.

Zofia.

Zakochany! ah, jak to dobrze!

Żelski (*do siebie*).

Nie zmartwiona. Chybiłem. (*Głośno*) Dlaczego dobrze, proszę pani?

Zofia.

Bo się ożeni i będę miała towarzystwo z jego żony na wsi.

Żelski.

Wié pani, a ja sądziłem...

Dormund.

Muzyka grać przestała, ta chodźmy, bo znów tańczyć zaczną!

Żelski.

Służę pani! (*Do siebie*) Taka piękna i nic go nie zajęła! To być nie może!

Zofia.

Zaraz, pozwól mi pan jeszcze obejrzéć się w lustrze.

Dormund.

Ot tobie, stary, zachciało się browaru, formalnie jak babie prosięcia. Prosię w kwik, baba w krzyk, a stary Dormund także niespełna rozumu.

Zofia.

No jestem gotowa! w Imię Ojca i Syna... Chodźmy. (*Wchodzą do sali*).

SCENA TRZECIA.

Hrabina Gabryela, Hrabia Janusz.

Gabryela.

Więc to tutaj mamy grać w wista?

Janusz.

Tak mi powiedziano przynajmniéj.

Gabryela.

Czy będziesz grał z nami?

Janusz.

Nie! popatrzę chwilę na tańczących, a potém wracam do siebie. Mam jeszcze zajęcie w domu.

Gabryela.

Czy wolno wiedziéć, jakie?

Janusz.

Muszę przejrzéć bilanse fabryczne i podpisać protokóły.

Gabryela.

Wiész, że ta twoja pracowitość jakoś podejrza-

nie mi wygląda! Gdybym była pańską żoną, chciała-bym widziéć te księgi buchhalteryjne, które tak troskliwie przeglądasz.

Janusz.

Sprzykrzyło-by się to pani, a zaręczam, że nicbyś pani w nich podejrzanego nie znalazła.

Gabryela.

Jesteś pan jednak dla mnie zagadką i byłabym bardzo rada wiedziéć prawdę o panu. Zwyczajna ciekawość staréj kobiety, w moim wieku zupełnie dozwolona.

Janusz.

Najchętniéj-bym jéj téż zadość uczynił, gdybym mógł domyślić się, o co pani chodzi właściwie?

Gabryela.

Ależ o całą twoję historyą! Zjawiasz się nagle u nas, niewidziany od lat dawnych, i żenisz się z córką Efroimowicza. Z początku myśleliśmy wszyscy, że jesteś zrujnowany. Ponieważ byłeś pan jednym z piérwszych, zawierającym podobne małżeństwo w naszym kraju, rodzina się od ciebie odsuwa; wyśmiewają cię, obmawiają; pan znosisz to wszystko z olimpijską pogodą. Po ślubie nic o tobie nie słychać! gospodarujesz pan na wsi, zakładasz fabryki, a kronika skandaliczna nic o panu nie donosi. Co jest w tém wszystkiém? Czyś pan tylko przebieglejszy od innych i zręczniéj się od innych maskujesz, czy naprawdę jesteś człowiekiem wyjątkowym?

Janusz.

Pragnął-bym nie być wyjątkiem, a jeżeli nim jestem, tém gorzéj, nie dla mnie, ale dla innych. Przodkowie moi dobrze się zasługiwali krajowi, ale i kraj im płacił za to; ztąd początek naszych majątków, które powinnibyś-my uważać raczéj za depozyt, złożony w nasze ręce, a nie za własność prywatną, powiększać go, a nie marnować. Z ubiegiem czasu, z natury rzeczy, rozdrobniły się spadki między rodzinę i gdy potęga kapitału rosła, nasze majątki malały. Wpływ, stosunki i stanowiska wysuwają się powoli z rąk naszych, kto inny zagarnia wszystko.

Gabryela.

Ależ hrabio! robisz mi tu mały wykład, nie wiem, ekonomii czy polityki, a ja cię prosiłam o sekret twojego życia.

Janusz.

To cały mój sekret właśnie. Miałem zasady, które w czyn wprowadziłem. Mogą być błędne, mogłem się pomylić; ale, raz nakreśliwszy sobie plan działania, nie odstąpiłem od niego ani na jotę. Nie cofnąłem się przed obmową, ośmieszaniem gawiedzi, nawet reprobacyą rodziny. Mówią o mnie i teraz: hrabia Janusz sprzedał się! Może w tém jest część prawdy; ale czy dla siebie? Majątek mój wystarczał mi na życie, nawet bardzo okazałe. Namiętności gwałtownych nie miałem nigdy; nie zgrywałem się bardzo w karty, nie miałem rujnujących kochanek. Dziś też nie używam za wiele! Z pewnością nie zjem dwóch obiadów, ani czterech śniadań, a nic

się w moich warunkach nie zmieniło, z wyjątkiem jednego, że mam wioski wzorowo zagospodarowane i że fabryki, procentując się dobrze, zbogacają okolicę. Czy dzieci moje i wnuki będą mi wdzięczne za to, że im zostawię wielki majątek przy nazwisku, w kraju zasłużoném, przesądzać nie śmiem, tak jak i o tém, jak go używać będą. Matka ich jest uczciwą, ja także, a czym nazwisku przodków przyniósł tém małżeństwem zakałę, to przyszłość oceni, a ja wierzę w przyszłość i dla niéj zapominam o sobie. Lepiéj złączyć dwie siły, niż spróchniałe drzewa; a najstarsze dęby padają, gdy się ich wcześnie nie podeprze.

Gabryela.

Myśl w gruncie rzeczy mogła-by być piękna w teoryi, ale w praktyce...

Janusz.

Jak każda myśl, koszlawi się w wykonaniu. Wszystko, co ludzkie, może być błędne lub nadużyte. Czyż mam nie wchodzić do lasu, dlatego, że tam rozbójnicy być mogą? Każdy odpowiada za siebie i, byle w sumieniu własném czuł się uczciwym, a przed opinią publiczną mógł stanąć z podniesionèm czołem dobrego obywatela kraju, o resztę niech nie dba. Oto moje przekonanie i sekret mojego życia.

Gabryela.

Więc pan nie byłeś zrujnowany, żeniąc się?

Janusz.

A la Pimbeche i tylu innych? Nie, pani, i zdaje mi się, że jest też różnica między nimi

a mną. Można się ze mną nie zgadzać, ale szanować mnie potrzeba.

Gabryela.

A! jeszcze jedno! Kochasz pan swoję żonę?

Janusz.

Rozumiemy się i szanujemy wzajemnie; zdaje mi się, że to wystarcza i więcéj warte od komedyi, którą odgrywają często ludzie i naszéj sfery, łącząc się w mniéj dobrane stadła.

Gabryela.

Jesteś pan ideałem! Niemniéj przeto radabym wiedziéć, jak wygląda ta pańska księga buchhalteryjna: blondynka, czy brunetka?

Janusz.

Zżółkłe w niéj karty i one mi właśne przypominają stare pergaminy moich przodków. Na jednych i drugich czytam wyraz: obowiązek. Do widzenia, pani hrabino; partnerzy pani zaraz nadejdą. (*Wychodzi*).

SCENA CZWARTA.

Hrabina Gabryela, potém **Limburg**, **Ks. Roman**.

Gabryela.

A to oryginał! Ciekawam jednak, czy on pozuje, czy prawdę mówi.

Limburg.

Przepraszam panią, żeśmy się tu przedostać

nie mogli! Hrabia dał taki bal, że pół Warszawy tłoczy się w jego salonach. Jesteśmy tacy popularni!

Gabryela.

To, to widać...

Limburg.

Moje córki bo są tak wychowane, że umieją dla każdego być uprzejme.

Gabryela.

Wzięły to po ojcu!

Limburg.

A tak, tak! wzięły po mnie! Lola bo więcéj w matkę: jest energiczna, jak to o niéj mówią, temperamentowa; ale hrabina, to istny mój portret! nie prawda, proszę księcia?

Książę.

Ulepszony.

Limburg.

Ulepszony! ha! ha! Książę ma zawsze dowcipne słowo! Poczekamy na czwartego, czy też może siądziemy odrazu grać z dziadem, bo coś prezes Efroimowicz się spóźnia. Dobrałem partyą starannie: ja, pani hrabina, książę z rodu i książę finansów.

Gabryela.

Mnie się zdaje, że i we troje komplet dobry stanowimy: kobieta, mężczyzna i bankier.

Limburg.

Bardzo mi przyjemnie. (*d. s.*) Czy ona mnie

czasem ukłóć nie chciała? (*gł.*) No! służę państwu, ciągnijmy karty!

Gabryela.

Książę dziada święci.

Książę.

Taki już los.

Gabryela.

Aż się z kolei połączysz z finansami.

Limburg.

Czemu nie! Książę ma piękne nazwisko.

Gabryela.

No! bójcie się Boga! nie wykupujcież tak wszystkich, zostawcie i nam troszeczkę.

Limburg (*do siebie*).

Poczekaj, dotnę ja cię! (*gł.*) Pani hrabino, to zwykła rzecz, że na wszelkich licytacyach utrzymuje się ten, kto ma czém płacić. Po czemu gramy?

Książę.

Jak najtaniéj, bo ja nie mam czém płacić.

Gabryela.

A conto posagu przyszłéj żony, pan Limburg zdyskontuje należność.

Limburg (*d. s.*)

To cięta baba! Żeby nie spadek po bracie, nie miała-byś ty takiego rezonu. (*Siadają do gry w głębi*).

SCENA PIĄTA.

Ciż, Lola, Horski.

Lola.

Muszę chwilkę odpocząć! Ten walc był szalony! Kręci mi się w głowie! Tu przynajmniéj swobodniéj odetchnąć można. Dlaczego pan nie siadasz?

Horski.

I mnie się w głowie kręci.

Lola.

A więc siadaj pan tu przy mnie!

Horski.

Nie wiem, czy otrzeźwieję.

Lola.

To znaczy, że ja pana odurzam?

Horski.

Być może.

Lola.

Wié pan, że to niepochlebne.

Horski.

Ale prawdziwe! Jestem otwarty, czemu pani taką być nie chcesz?

Lola.

Ja! Ależ ja jestem aż nazbyt szczerą z panem! Przed paru tygodniami poznaliśmy się. Wszakżeś pan uciekł wtedy przede mną, powiedziawszy mi wiele rzeczy nieprzyjemnych. Sądziłam, że już pana nie zobaczę. W dwa dni

potém w teatrze spotkaliśmy się znowu. Byłyśmy z Elżbietą; pan przyszedłeś do naszéj loży. Od tego czasu stałeś się pan odważniejszym, nie uciekasz! Z chwilą, jakem się dowiedziała, że pan nie konkurujesz o mnie i że starać się o mnie *nigdy* nie będziesz, stałeś mi się pan bardzo przyjemnym towarzyszem! Lubię rozmawiać, grać na fortepianie i tańczyć z panem, bo walcujesz pan doskonale! Przyznaję się do tego wszystkiego! Czyż to nie szczerość?

Horski.

Nie! to tylko dalszy ciąg komedyi, którą odegrałaś pani ze mną przy piérwszém poznaniu. Nęcisz mnie pani uśmiechem, oczyma, sobą całą, gdy zwieszasz się w tańcu na mojém ramieniu, a potém drażnisz szyderstwem lub maską obojętności! Powiedz pani, gdzie pragniesz mnie doprowadzić?

Lola.

Zdajesz się pan na łaskę i niełaskę?

Horski

Nie! Poddanie moje w téj chwili było-by jak zobowiązanie pijanego; powiedziałem: pani mnie odurzasz!

Lola.

Niezupełnie, bo się pan buntujesz!

Horski.

Ale nie mam siły uciekać.

Lola.

Czyżem tak straszna naprawdę?

Horski.

Powiedz mi pani, czy chcesz, żebym pozostał?

Lola.

W tym pokoju? Zostań pan, tu chłodniéj. Ja wracam do sali, bo na mnie czekają.

Horski.

Żegnam panią.

Lola (*do siebie*).

Za ostro. (*Głośno*) Zachowałam dla pnna kotyliona! Tylko przyjdź pan o niego się upomnieć, bo zapomnę. (*Wybiega*).

SCENA SZÓSTA.

Ciż, bez **Loli**, potém **Żelski**, **Zofia**,

potém **Finger**.

Horski.

Nie! tym razem będę miał odwagę! Muszę wyjechać i wyjadę! Inaczéj, nie było-by dla mnie ratunku! Parę dni dłużéj i został-bym zięciem Limburga, a wtedy co? Co ona sama pomyślałaby o mnie? Tak jest, wrócę na wieś, zakopię się tam! Już nie mam siły! Machinalnie idę za nią. Przecież ten jeden wieczór mnie nie zgubi! Przetańczę z nią kotyliona, pożegnam się, a jutro rano wyjadę! Tak! jutro na pewne!

Żelski (*do Zofii*).

Widzi pani, tutaj chowa się dezerter.

Zofia.

Ślicznie mnie protegujesz, Stasiu! ładny z ciebie kuzynek! uciekłeś z sali. Bez opieki pana Żelskiego zginęła-bym zupełnie w tym tłumie.

Horski.

Daruj, kuzynko! od téj chwili jestem już na twoje rozkazy, z wyjątkiem kotyliona.

Żelski.

Którego tańczysz z panną Lolą Limburg.

Horski.

Zkąd wiész?

Żelski.

Korbiczowa to ułożyła. Zdaje się, że w tym kotylionie masz się oświadczyć.

Zofia.

Jakto? to tu oświadczyny nawet według obmyślonego z góry odbywają się programu?

Horski.

Józef żartuje sobie; czy nie widzisz tego, kuzynko?

Zofia.

Mnie się zdaje, że nie! bo jakkolwiek mało tu osób poznałam, wszyscy jednak mówili o tém, że się z panną Lolą żenisz.

Horski.

Mówili o tém! i robiono jakieś uwagi?

Zofia.

Oh! dziecinne! Nie znają cię tutaj i przy-

puszczają, że ty, kuzynku, mógłbyś się ożenić dla posagu. Właśnie spierałam się o to z jednym z moich tancerzy, który wierzyć nie chciał, że ty nie jesteś zrujnowany. Nie wiem, co oni w tém widzą dziwnego i dla czego tybyś się nie miał żenić z miłości z panną Lolą! jest taka piękna!

Żelski.

Ba! Staś nie jest kochliwy! Przecież miał obok siebie na wsi osobę piękniejszą od panny Loli, a pomimo to nie zajął się nią. Umié być praktycznym w życiu.

Zofia.

U nas w sąsiedztwie panien na wydaniu niéma! nie mogę się domyślić, o kim pan mówisz.

Żelski.

Ale on się domyśla! Tylko że ona pewno nie będzie miała milionów panny Limburg.

Zofia.

Ja nie wierzę, żeby nim kierował interes! Jeśli się ożeni, to z miłości, i będzie mógł śmiało powiedziéć...

Finger *(wbiega z sali).*

Panno Zofio, szukam wszędzie! Już kadryla zaczynają i moje vis-à-vis stoi na miejscu. Przepraszam panów, ale muszę panią zabrać.

Zofia.

Chodźmy (*do Żelskiego n. s.*) Tego dansera niepotrzebnie mi tatko przedstawił! Mógł-by już sobie dać pokój.

Żelski (*do Zofii*).

Ma miliony, a to wiele znaczy.

Zofia (*j. w.*)

Tylko nie jako kwalifiacya do tańca! Wolała-bym mniéj pieniędzy i... lat. Zresztą, w ogóle, wolała-bym tu nie być! Smutno mi! (*Gł. do Fingera*) Służę panu. (*Wychodzą do sali*).

SCENA SIÓDMA.

Limburg, Hrabina Gabryela, Książę Roman, (*grają w karty*), **Horski, Żelski,** potém **Elżbieta.**

Horski.

Słuchaj! wiem, dla czego mnie kłujesz i co myślisz! Otóż, jeżeli mnie chcesz ratować, zabierz mnie ztąd! nie daj ani na chwilę spojrzéć po-za siebie, bo nie ręczę za nic!

Żelski.

Nie pomyślałeś nigdy o Zosi?

Horski.

Może być! Zresztą ona dopiéro niedawno wróciła z pensyi; przedtém była dzieckiem! przyzwyczaiłem się do niéj.

Żelski.

A jednak wszyscy to spostrzegli odrazu, że ona jest prześliczna! Finger jéj nie odstępuje.

Horski.

Przecież nie śmiał-by marzyć...

Żelski.

A dlaczego? jego nikt o interes nie obwini!

Horski.

Znów używasz swojéj broni!

Żelski.

Nie mam innéj. Jeśli rany tém nie wypalę, zginiesz!

Horski.

Dlaczegoż mam zginąć nareszcie! Przypuśćmy, że się z nią ożenię; będzie to tylko dowód, żem się w niéj zakochał szalenie i że nie mogłem zrobić inaczéj. Ani mnie, ani jéj nic nie zarzucą.

Żelski.

Słyszałeś, co mówił tancerz panny Zofii?

Horski.

Głupiec!

Żelski.

Stasiu! widzę, że jesteś rozgorączkowany, wahający się między Scyllą a Charybdą, więc nie chcę na ciebie wpływać, bo tu trzeba własnéj inicyatywy twojéj. Ochłodniesz powoli, jak się rozpatrzysz w otoczeniu, w jakie-byś wszedł, i w tém, coby cię czekało w przyszłości. Na dziś daj mi tylko słowo, że kroku stanowczego nie zrobisz.

Elżbieta (*wchodzi z sali*).

Panie Stanisławie, szukam pana wszędzie, a tu

Telemak z Mentorem spiskują na uboczu. Ukryta pod postacią pana Żelskiego, Minerwo, czy zechcesz mi powierzyć na chwileczkę swojego pupila? Przejdę z nim tylko na lody do bufetu i zwrócę nienaruszonego.

Żelski.

Nadobna Kalypso, bronić nie mogę, choćbym chciał.

Horski.

Ja miałem zamiar już...

Elżbieta.

Prosić Lolę do kotyliona! to ułożone; mówiła mi, że z panem tańczy. I ona jest w bufecie. Pójdźmy! Do widzenia, Kryzaldzie, Kleancie, Alceście.

Żelski.

Do widzenia, szlachetna Celimeno! (*Elżbieta wychodzi pod rękę z Horskim*).

SCENA ÓSMA.

Ciż, bez Elżbiety i Horskiego.

Żelski.

Ah! zdaje mi się, że mnie coś dusi! Żebym mógł, rozszarpał-bym ją! I ja mam się poddać? nigdy! Jakto! z takiemi żywiołami w ręku, niebym nie wymyślił? Najprzód ona, która mówi, że go jeszcze kocha! potém Limburg, nadęty pyszałek, szukający zięcia z nazwiskiem i stosunkami; Lola, namiętna, gwałtowna i w gruncie rzeczy może szla-

chetna, i nareszcie ten chłopak młody, dzieciak prawie. I ja nic nie znajdę, nic z tego nie wykombinuję! Jest Zosia! gdyby go kochała? No, ale on jéj jeszcze nie kocha, a za tamtą szaleje! A!... a gdyby sama Lola? Tak, ona jedna może wszystko popsuć, jeśli mi się uda komedya... Zmieniam front! od téj chwili jestem rzecznikiem tego małżeństwa. Ja będę traktował o warunki; zobaczymy, czy się przed niemi nie cofną. Wyborny plan! muszę go tylko obmyślić szczegółowo.

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż i Stockfindel.

Stockfindel.

Dobry wieczór, panie Żelski.

Żelski.

Dobry wieczór panu! jakże zdrowie?

Stockfindel.

Nie dobrze! ciągle źle z żołądkiem! zjadłem trochę majonezu w bufecie i już mi jest ckliwo.

Żelski.

A cóż z Bisiem?

Stockfindel.

Tańcuje tam! prowadzi mazura! on ma silne zdrowie.

Żelski.

Spodziewam się, że jesteście panowie już dobrze ze sobą?

Stockfindel.

Aha, dobrze! w zeszły piątek obił mi kasyera.

Żelski.

Co znowu?

Stockfindel.

Chciał od niego pieniędzy! O mały włos, że do grubéj awantury nie przyszło! Zgrał się w klubie i musiałem zapłacić. Już em mu chciał córkę odbierać, ale użył do mnie pośrednictwa różnych osób. Jak pan myślisz, czy on się nie ustatkuje?

Żelski.

Miejmy nadzieję.

Stockfindel.

No, wié pan, ale ja się boję, że jak się na kasyerze zaprawił, to się jeszcze i do mnie weźmie. Moja córka jest bardzo łagodna, ale mnie się zdaje, że on ją parę razy poturbował; miała sińce na plecach! zobaczyłem, bo była wygorsowana. On jest awanturnik!

Żelski.

Tak, trochę gwałtowny.

Stockfindel.

Dobra krew! taka już fantazya! Żeby tylko pieniędzy nie marnował. A ten przyszły zięć Limburga, jakże on? Podobno młody, przystojny?

Żelski.

A tak, bardzo nawet.

Stockfindel.

Powiadają, że bogaty.

Żelski.

Co to... to mylą się trochę!

Stockfindel.

To nie ma majątku, tak jak Biś i Pimbeche?

Żelski.

Niestety! zdaje się że nie! Ma podobno mniéj jak nic, bo długi.

Stockfindel.

Brzydki defekt.

Żelski

No, Limburg to popłaci, choćby ich było jak najwięcéj.

Stockfindel.

Jak najwięcéj! To się sprzykrzy.

Żelski.

Panu nie sprzykrzyło się przecie.

Stockfindel.

Jak to nie sprzykrzyło! co to jest nie sprzykrzyło! Mnie to już męczy, gorzéj niż żołądek. Panie, ja mam jeszcze dwie córki i mam ochotę wydać je za mąż, ale gdyby się trafił podobny do mojego zięcia, choćby książę krwi królewskiéj...

Żelski.

Odmówił-byś mu pan?

Stockfindel.

No, nie! księciu się nie odmawia! ale jakby mnie za drogo kosztował, to-bym mu po urodzeniu piérwszego syna córkę odebrał.

Żelski.

O, to się nazywa być praktycznym.

Stockfindel.

Ja też jestem praktycznym. Tylko że te kobiety, to tak przywiązują się do mężów! Wié pan, że moja córka to jego kocha, choć on ją bije. No, ale bo piękny mężczyzna. Aj, żeby on się ustatkował! on i mój żołądek.

SCENA DZIESIĄTA.

Ciż i Pimbeche.

Pimbeche.

Papo teściu! Papo teściu! gdzież jest papa teść?

Limburg.

Jestem, jestem! (*do hrabiny i księcia*) Przepraszam państwa na chwileczkę. (*Do Pimbeche'a*) Co się stało? czy już się oświadczył?

Pimbeche.

Nie! ale prezes Efroimowicz przyjechał.

Limburg.

Co? sam Efroimowicz? biegnę na spotkanie! państwo darują. (*Wychodzi*).

Hrabina Gabryela.

Naturalnie, trzeba godnie przyjąć jego królewską mość milion.

Pimbeche (*do Żelskiego*).

Wiész, doskonale idzie! Staś ciągle przy Loli.

Może już przy kolacyi wypijemy zdrowie narzeczonych.

Żelski (*do Pimbeche'a*).

Nie śpiesz się jeszcze, bo ja wprzód muszę się porozumiéć o warunki z teściem.

Pimbeche (*j. w.*).

Jakto o warunki?

Żelski (*j. w.*).

No, o posag! Staś nie chce być na jego łasce, żąda wypłaty gotowizny przy intercyzie!

Pimbeche (*j. w.*).

Co? co? ja nie żądałem, a on...

Żelski (*j w.*).

On się wyżéj ceni! można go brać, albo nie brać.

Pimbeche.

Ee! to jeszcze zobaczymy! dobrze, żeś mię uprzedził! powiem ja teściowi.

SCENA JEDENASTA.

Ciż i Marya, potém Horski, goście, w końcu Limburg, Efroimowicz.

Marya (*przechodzi bokiem do księcia*).

Nie mogłam być wczoraj, mąż był cały dzień w domu.

Książę (*do Maryi*).

A ja czekałem.

Marya *(jak wyżéj)*.

Przyjdę jutro! zwykły znak: hrabia będzie miał czerwony krawat. (*Przechodzi na przód sceny*). Wiecie państwo, Efroimowicz przyjechał.

Horski.

Tłum gości aż tu mnie wyparł! Dlaczego tak wszyscy biegną na spotkanie tego pana?

Stockfindel.

Przepraszam, pan z prowincyi?

Horski.

Tak panie. Jestem Horski, obywatel z pod Grodna.

Stockfindel.

A ja Radosław Stockfindel, Dom Stockfindel i kompania! teść Wielohradzkiego. To pan nie wié, dlaczego biegną naprzeciwko pana Efroimowicza? On jest prezesem dwóch banków, ma kantor w Petersburgu, w Moskwie i Odessie.

Horski.

I cóż ztąd?

Stockfindel.

Cóż ztąd? (*Do siebie*). Oj-jéj! Limburg będzie miał drugiego głupiego zięcia.

Pimbeche (*nuci*)

Już się zbliża, już nadchodzi.

(*Cały tłum gości ciśnie się naprzeciw Efroimowiczowi*).

Limburg.

Proszę państwa! Miejsca! miejsca dla pana prezesa!

Stockfindel (*do Horskiego*).

Oto widzisz pan, co jest pan prezes Efroimowicz!

AKT IV.

Salonik, dający widok na ogród w mieszkaniu Limburga. W głębi wejście od ogrodu, z lewéj oranżerya. Za podniesieniem zasłony, Lola gra na fortepianie, Horski stoi oparty za jéj krzesłem.

SCENA PIÉRWSZA.

Lola, Horski.

Horski.

O, jeszcze! jeszcze chwilkę!

Lola.

Chwilka trwała dość długo, a nie mogę tak zostawiać naszych gości. I tak jesteśmy już sami...

Horski.

Nie wiem, czy parę minut.

Lola.

Przypuśćmy trochę: kwadrans.

Horski.

I to się pani tak długo wydało!

Lola.

Ależ ja nie mówię o moich osobistych wraże-

niach, tylko o tém, co powiedzą inni. No! przyznaj pan, że ja jestem dobra. Dziesiąty raz co najmniéj żegnasz się pan ze mną. „Daj mi pani kwiatek na pożegnanie“... daję! „Zagraj mi pani Chopin'a“... gram! Pan tymczasem nie odjeżdżasz, ale zato kompromitujesz mnie fatalnie! Co powiedzą o mnie ludzie, jak pan odjedziesz... naprawdę!

Horski.

Pani wiész dobrze, że ja już nie odjadę.

Lola.

Ah! namyśliłeś się pan... nareszcie.

Horski.

Czyż pani tego nie przewidziałaś oddawna! Toczyłem z sobą walkę, bo wiész pani przecie, że nie mogłem być takim, jakim mnie chciała zrobić pani Korbicz, jakim pani sama przedstawiałaś mnie sobie w piérwszéj chwili. Przy pani zapominam o wszystkiém! Opanowałaś moję głowę, serce, zmysły, upajam się twojém tchnieniem; oczy twoje poprowadziły-by mię na koniec świata! Kiedy sam jestem, myślę, co powiedzą ludzie: Horski sprzedaje się córce bankiera! I jak ich przekonać, że to nieprawda? jak im dowieść, żeś ty mnie oczarowała!

Lola.

A cóż nas ludzie obchodzą! Tak, przyznaję się panu, że i ja podzielam opinią świata, i ja sądziłam, że my wszystkie przeznaczone jesteśmy na odnowienie świeżém złotem wytartych herbów naszych mężów. A jednak czułam, że ja jestem lepszego losu warta; mam przecie coś w głowie

i coś w sercu nawet... no, jestem zarozumiałą, widziałam się w lustrze dość przystojną. Z tém lustrem zabawne miewałam rozmowy! Mówiłam do téj, która tam stawała przede mną: „Widzisz, Lolu, zdawało-by się, że możesz się podobać, a tymczasem nie, nie łudź się, dziewczyno! Twój narzeczony będzie bardzo dobry, jeżeli raczy wybaczyć ci twoje pochodzenie i weźmie cię jako dodatek do... posagu“. Nie prawda, że miałam przeciw czemu się buntować? o! i buntowałam się téż. Spytaj się pan mojego ojca, siostry i Elżbiety. Mężczyzna, który się sprzedaje, jest nikczemny, powtarzałam im zawsze: ja takim pogardzam! Nie prawda, że miałam słuszność?

Horski.

Toż samo i ja myślę, i dlatego chciałem uciekać.

Lola.

A jeśli ja panu wierzę...

Horski.

Tak, ty mi wierzysz, ale gdybym się spotkał z człowiekiem, który-by mi rzucił ten zarzut w oczy, dziś lub kiedykolwiek... O! Lolu! coś ty ze mną zrobiła i jak ja cię muszę kochać, kiedy o tém zapominam!

Lola.

Coś pan powiedział? powtórz pan.

Horski.

Ze cię kocham, kocham!

Lola.

To ładnie brzmi, prawie jak muzyka.

Horski.

Oh! słyszéć to z ust twoich, patrzéć w twoje oczy, pić oddech twoich ust! Co mi świat, co mi ludzie, byleś ty była moją!

Lola.

Więc się pan zdajesz na łaskę i niełaskę? Widzisz pan, jak to źle zarzekać się! Będę wspaniałomyślną! przebaczę panu i...

Horski.

Dokończ!

Lola.

Nie! mówmy seryo! Ja panu wierzę! Teraz nawet ta duma twoja i ten opór podoba mi się! Ja chcę, żebyś był ambitnym i nie pozwolił się podejrzewać! Gdybyś mnie zwodził, w jednéj chwili znienawidziła-bym pana! W moich żyłach płynie gorąca krew Wschodu! Ja nie umiała-bym się poddać z rezygnacyą losowi! Albo uczucie moje bez granic, albo nienawiść i pogarda! Nieraz zastanawiałam się nad małżeństwem mojéj siostry, Wielohradzkiéj... i innych. Wszak ich mężowie także przed niemi musieli grać komedyą miłości, przynajmniéj przed ślubem! Gdyby ze mną tak było!... Ale nie! ja jestem energiczniejszą, przenikliwszą od nich. Zresztą, im wystarczyły nazwiska, mnie potrzeba było duszy! Wszak ją znalazłam!

Horski.

O! tak, wierz mi Lolu, że...

SCENA DRUGA.

Ciż i Żelski, potém Elżbieta.

Żelski.

Przepraszam! może przeszkadzam państwu?

Lola.

Cóż znowu! prosimy. Właśnie mieliśmy przejść do ogrodu, tylko pan Horski znowu żegnał się tak długo.

Żelski.

A czasby był wielki, żebyście państwo wyratowali pannę Zofią od Fingera, który ją zanudza! Pani Elżbieta gdzieś zniknęła. Wujaszek Dormund zato po raz piętnasty opowiada hrabinie Gabryeli interes swojego browaru. To już musi być familijne, bo i Staś, zdaje mi się, już piętnasty raz żegna się z panią. Jak na trzytygodniową znajomość, to dosyć.

Lola (*do Horskiego*).

Patrz pan, to my dopiéro trzy tygodnie się znamy.

Żelski.

Nikt-by tego nie powiedział, patrząc na państwo; rozumiecie się tak dobrze... przynajmniéj tak wam się zdaje.

Horski.

Jakto! przypuszczasz...

Żelski.

Ja nic nie przypuszczam! Widzi pani, on już się boi; co to jest mieć sumienie nieczyste!

Lola.

Podejrzewasz pan pana Stanisława?

Żelski.

A pani?

Lola.

Ja nie.

Żelski.

To źle! strzeżonego Pan Bóg strzeże!

Elżbieta (*wchodzi z prawéj*).

Ja téż strzegę téj młodzieży, żebyś ich pan nie urzekł.

Żelski.

Ariman i Oromuzd! Jak my się zawsze w porę spotykamy na stanowisku!

Elżbieta.

Pańska najniższa sługa była tam, za temi drzwiami.

Żelski.

Podnóżek pani za temi, w oranżeryi.

Elżbieta.

Więc pan patrzyłeś?

Żelski.

A pani słuchałaś?

Elżbieta.

No! spodziewam się, że pan dajesz za wygraną.

Żelski.

Choćbym nie chciał... muszę!

Elżbieta.

Pańska udana rezygnacya nie zwodzi mnie wcale, ale istotnie słyszałam ztamtąd jeden wyraz, powtórzony kilkakrotnie! Brzmiał on tak dźwięcznie, że zagłuszył wszystkie pańskie sarkazmy! Widzisz pan, nie patrzą na nas, nie wiedzą, że tu jesteśmy. Układaj pan czarne intrygi i spiskuj dalej; ja tymczasem dzieci wyprowadzę na trawkę. Lolu! czy nie przejdziecie z panem Stanisławem do ogrodu; twoi goście dziwią się pewno takiéj długiéj nieobecności?

Lola.

Masz słuszność, zapomniałam o nich... (*ciszéj do Horskiego*) Zapomniałam o wszystkich dla jednego!

Horski (*całując jéj rękę*).

O pani droga!

Elżbieta.

Dzieci! to szczęście, że ja nie widziałam! (*do Horskiego*) Chcesz pan, żebym pomówiła z ojcem?

Horski.

A prawda! o tém zapomniałem! Ja sam z nim pomówię! Panno Lolu, proszę o pani rączkę... do ogrodu!

Lola (*podając mu rękę*).

Tak pan ładnie zacząłeś. (*Wychodzą*).

Elżbieta (*idzie za nimi, od progu zwraca się giestem do Żelskiego*).

Bon soir monsieur Pantaléon! (*Wychodzi*).

Żelski (*idąc za Elżbietą*).

Przecież bez drużby niéma wesela, i ja na tych godach być muszę! (*wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

Zofia, Finger (*wchodzą ze drzwi od oranżeryi*).

Zofia (*trzyma w ręku kilka kwiatów, Finger podaje jéj nowy*).

Ależ pan niszczysz oranżeryą dla mnie.

Finger.

Nic nie szkodzi, to cudza! W czyich-że ręku właściwiéj kwiatom, jak w pani drobniuchnéj rączce! Czyż nie powiedział nasz poeta: Idź kwiecie do kwiata!

Zofia.

Nie pamiętam takiéj poezyi! Nie wié pan, gdzie oni są?

Finger.

Kto taki?

Zofia.

Staś i panna Eleonora.

Finger.

Szczęśliwy ten pan Staś, że pani ciągle o nim myśli.

Zofia.

Ciągle!... cóż znowu! Zresztą, jest moim blizkim krewnym, a na wsi widywaliśmy się prawie codziennie! Nic dziwnego, że mnie zajmuje bardziéj, niż ludzie obcy, lub mało znani!

Finger.

Gdybyś nas téż pani bliżéj i lepiéj poznać chciała.

Zofia.

O, nie! miasto nie jest dla mnie ciekawe; mam go już dosyć! Dlatego też zanoszę do pana prośbę: uwolnij pan ztąd jak najprędzéj mojego ojca! Tak-bym chciała powrócić z nim do domu!

Finger.

Jego interes nie jest łatwy.

Zofia.

Wiem o tém; wiem też, że cokolwiek nieoględne pozawierał już kontrakty o maszyny, z czego moglibyśmy ponieść znaczne straty. Wprawdzie, jak tatko mówił, opierał się na pańskiém zapewnieniu, że kapitał się znajdzie!

Finger.

Ja obiecałem się starać, ale zapewnienia, to jest gwarancyi, to ja nie dawałem. Obecnie jednak nie wiem, czy zdziwię panią, jeśli powiem, że klucz całego tego interesu leży w téj maleńkiéj pani rączce.

Zofia.

Jakto! nie pojmuję pana.

Finger.

Chciałbym to pani jaśniéj wytłómaczyć, ale czuję się tak wzruszonym! Widzi pani, ja, Albert Finger, czuję się wzruszonym. To samo już powinno trochę pani pochlebiać.

Zofia.

Coraz mniéj rozumiem!

Finger.

Rozumiem to, że pani nie rozumiész! Dziecko natury, wychowane na łonie natury, pani przyzwyczajona jesteś do kwiatów, zieloności, poezyi! Pani! ja także znam i kocham naszych poetów. Moje nazwisko Finger, pochodzę z nad Renu; ale moje serce w téj chwili może przybrać końcówkę *cki* albo *ski*, — to mi nic nie szkodzi.

Zofia.

To bardzo ładnie, że pan ma serce polskie, i mam téż nadzieję, że pan dopomoże mojemu ojcu zakończyć układy w Warszawie, żebyśmy mogli powracać na wieś.

Finger (*d. s.*)

Teraz pora! Uczyłem się wczoraj cały dzień; żebym się tylko nie pomylił! (*gł.*) Chcesz pani wracać na wieś! ja pojadę za panią. *(deklamuje)*

Pójdziemy razem na śniegu korony,
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą.
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory,
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury.
O moja luba! tam pójdę za tobą!

(zmęczony deklamacyą, ociera chustką spocone czoło) Uf! i cóż pani na to!

Zofia.

Mówię, że ustęp ze „Szwajcaryi“ bardzo piękny i podziwiam pańską pamięć.

Finger.

I nic więcéj!

Zofia.

A cóż ma być więcéj?

Finger (*d. s.*).

To ona widać jest pozytywistka! zacznijmy z innéj beczki. *(gł.)* Pani wié, że teraz pieniądz jest ciężki?

Zofia.

Mam tego dowód na moim ojcu.

Finger.

Pani wié, na ile mnie liczą!

Zofia.

Sądzę, że musisz pan być bardzo bogatym, gdy się tatko do pana udał!

Finger.

Tak pani, ja jestem bardzo bogatym! Kobiecie, którą-bym kochał, jabym nic nie mógł odmówić! Miała-by śliczne mieszkanie, powóz, liberyą, toalety, podróże do Paryża, szale, koronki, brylanty! Spodziewam się, że pani lubi szale, koronki, brylanty?

Zofia.

Nie mam ich i zdaje mi się, że nie przepadam za niemi.

Finger (*d. s.*)

Nie lubi brylantów. A cóż ona lubi? (*gł.*) Więc pani nie uśmiechał-by się taki los?

Zofia.

Jaki?

Finger.

Zostać moją żoną!

Zofia.

Pańską żoną! ha, ha, ha! Ja? ha, ha! (*ciągle z wybuchami śmiechu*). Więc to do tego zmierzała cała ta deklamacya Słowackiego! Te wiersze były na cześć moję! I brylanty, i szale, i koronki! Daruj pan, że się śmieję, ale doprawdy, nie mogę się powstrzymać! Muszę iść tatce powiedzieć, jakim kosztem miał okupić swój browar, (*śmiejąc się, wybiega*).

SCENA CZWARTA.

Finger, potém **Limburg**, **Wielohradzki.**

Finger.

Śmieje się! głupia gęś! Ale ładna! (*do wchodzącego Limburga*) Kochany prezes już z biura?

Limburg.

Śpieszyłem się do gości! Właśnie spotkałem pana Wielohradzkiego, który ma do mnie mały interesik.

Finger.

Nie przeszkadzam! Pójdę do reszty towarzy-

stwa, do ogrodu (*n. s.*) Pogadam ja jeszcze z jéj ojcem, ale z innego tonu (*wychodzi*).

SCENA PIĄTA.

Limburg, Wielohradzki.

Limburg.

Siadajże, kochany panie, i opowiedz mi, o co chodzi.

Wielohradzki.

Mam zatargi z moim teściem.

Limburg.

Wiem coś o tém; nawet słyszałem, że przyszło do jakichś gwałtowności. Pan podobno jesteś trochę niewstrzemięźliwy w ręku!

Wielohradzki.

No, tak! nie przeczę, że parę razy się uniosłem.

Limburg.

Uniosłeś pan, aleś pan i opuszczał, i to podobno silnie!

Wielohradzki.

Proszę pana, jak się człowieka excytuje!...

Limburg.

A no, widzi pan, to zawsze niedobrze! Jakże można bić? to jest nieładnie!

Wielohradzki.

To téż chcę to wszystko raz skończyć! Spory moje z teściem trwają za długo! Postanowiliśmy zdać się na sąd honorowy naszych wspólnych przy-

jaciół! On wybrał pana i Efroimowicza, ja wybrałem Pimbeche'a i księcia Romana.

Limburg.

Ładny komplet.

Wielohradzki.

Panowie wybierzecie superarbitra i osądzicie naszę sprawę. Poco mają być ciągłe nieporozumienia i skandale? Ja przedstawię moje żądania, zresztą bardzo słuszne, bo, proszę pana, czyż to wypada, żebym ja, zięć tak zamożnego człowieka, jak on, miał wyczekiwać jego śmierci, marniejąc na dziesięciu tysiącach rubli rocznéj renty?

Limburg.

Ale pan już tyle zmarnowałeś!

Wielohradzki.

Pański zięć więcéj zmarnował, a pomimo to pan go nie szykanujesz.

Limburg.

Ja jestem trochę zamożniejszy!

Wielohradzki.

A to téż to właśnie, że ja byłem w błąd wprowadzony! Cały ten interes Korbiczowa przedstawiała tak świetnie, a tu nędzna renta! Proszę pana, człowiek z nazwiskiem miał-by się żenić dla nędznéj renty! Przecież ciągnięto mnie do Goldsilberówny!

Limburg.

Tam było krucho.

Wielohradzki.

Ale gdzież tam! Zbankrutował już trzeci raz.

Limburg.

Tak, tak! ułożył się z wierzycielami! Masz pan słuszność, musi mieć grubą gotowiznę. No więc, proszę pana, pomyślimy o tém, żeby i wilkowi było dobrze i kozie też; ja się tém zajmę w tych dniach.

Wielohradzki.

Ależ ja nie mogę tak długo czekać! Moi wierzyciele nie ułożą się ze mną! Zaprosiłem już Tolka, żeby tu zaszedł, a i pan Stockfindel zaraz się zjawi. Może bez większego kompletu rzecz dałaby się załatwić; poco nadawać rozgłos téj sprawie?

Limburg.

Ona już i tak jest dość głośną przez pana! Te (*pokazuje giestem uderzenia*) klapnięcia, to one się odbiły niezłém echem w mieście! Na giełdzie nawet o tém mówili. Tymczasem jestem dziś tak zajęty! Mam gości i w projekcie małżeństwo.

SCENA SZÓSTA.

Ciż i Pimbeche, potém **Stockfindel**, wreszcie **Żelski.**

Pimbeche.

Jak się masz, Bisiu! (*Nuci*)

Dla przyjaciela śpieszę z usługą.

Papo teściu, czy niéma tu mojéj żony?

Limburg.

Nie, nie było jéj dotąd.

Pimbeche.

Dziwna rzecz! Kiedym wychodził rano, mówiła mi, że jest słabą i że się nie ruszy z domu! Tymczasem teraz, powracam, niéma jéj! Prawda, że ja rzadko powracam, ale zawsze, dlaczego jéj niéma?

Limburg.

Nie wiem. Poczekajno, hrabio, zbliżno się! Przepraszam; co ty masz za krawat? czy to nowa moda?

Pimbeche.

A tak, pewno! To już hrabina się tém zajmuje, bo to ona swoim gustem dobiera mi krawaty i wszyscy bardzo chwalą. Klocia!.,. to jest nie! Książę Roman zawsze podziwia, że ja mam takie gustowne krawaty! Spotykamy się codzień na śniadaniu w klubie. Dziś mi dała jakiś czerwony, pokazuje się, że musi być modny! sama mi go włożyła! (*Nuci*)

Jéj ręka pieściła mą szyję.

Stockfindel.

Że hrabia przyszedł, to już słyszę. Jak się ma pan prezes! Aha! i pan Wielohradzki tu jest!

Limburg.

No, panie Radosławie, źle zaczynamy! Trzeba się przywitać z zięciem.

Stockfindel.

Ja z nim bałbym się witać, wobec rozwijają-

cych się nowych skłonności. Jeżeli ktoś zapomina się aż do tego stopnia (*pokazuje giestem bicie*).

Limburg.

No, no! nie przesadzajmy! Taki wybryk młodości, to nie jest znowu zbrodnia. Czasem tak chorobliwie ręce kogoś swędzą.

Stockfindel.

To niech je drapie, ale cóż mu mój kasyer zawinił?

Wielohradzki.

Byłem rozdrażniony, przyznaję, że mogłem zbłądzić.

Stockfindel.

Bardzo jesteś łaskaw! Dużo mu przyjdzie z twojego przyznania, jakeś go poturbował.

Limburg.

Kochany panie, puśćmy to w niepamięć i przejdźmy do przedmiotu sporu.

Stockfindel.

Ja nie mam z nim żadnego sporu. Życzył sobie jakiegoś sądu, jakichś pośredników... albo ja wiem czego! Żądał, żebym wybrał ludzi rozsądnych... wybrałem. Chciał, żebym przyszedł... przyszedłem. Stawia mię pod jakimś zarzutem—niech mówi, ja będę się tłómaczył.

Wielohradzki.

Dobrze, zgoda! więc zaczynam.

Stockfindel.

A ja słucham.

Wielohradzki.

Kiedym się żenił z pańską córką, obiecałeś mi pan dać posag, w ilości dwukroć stu tysięcy rubli, jakkolwiek utrzymywano przede mną, że dasz pan znacznie więcéj, i istotnie, majątek pański zupełnie na to wystarczał.

Stockfindel.

Czy ja już umarłem i chcesz po mnie robić spis inwentarza?

Wielohradzki.

Nie życzę panu śmierci, żyj jak najdłużéj, ale proszę o wypłatę posagu żony.

Stockfindel.

Większą połowę już straciłeś, a na drugą daj hypotekę, to ci wypłacę.

Wielohradzki.

Ja wcale nic nie straciłem.

Stockfindel.

Jakto, a wieś?

Wielohradzki.

Sprzedano ją niżéj wartości i skutkiem tego suma pańska spadła.

Stockfindel.

No, ale ja ją wypłaciłem; przeszło sto tysięcy rubli moich tam utonęło.

Wielohradzki.

Boś je pan źle umieścił.

Stockfindel.

To ty umieściłeś, nie ja.

Wielohradzki.

Przeciwnie, to pan straciłeś, nie ja.

Stockfindel.

To był posag twojéj żony!

Wielohradzki.

Nie, to były pańskie pieniądze. Pan je masz u mnie, a moja żona ma posag u pana i proszę o wypłatę.

Stockfindel (*do Limburga*).

No, słyszałeś pan takie rezonowanie! Czy ja nie mam z czego chorować?

Wielohradzki (*do Pimbeche'a*).

No, powiedz-że, czy ja nie mam racyi!

Pimbeche.

Najzupełniejszą. (*Nuci*)

Honor i prawo są twoim udziałem.

Stockfindel.

Panie prezesie, powiedz-że pan jemu, że to i w Chinach takich praw niéma, i że pieniądze, raz wypłacone...

Limburg.

Rzeczywiście, panie Wielohradzki, według kodexu francuzkiego...

Wielohradzki.

A to tak! zmawiacie się na mnie! Ja się tu zdaję na sąd honorowy, a pan Stockfindel namawia sobie swoich przyjaciół, którzy chcą wyrokować na podstawie kodexu.

Stockfindel *(ciągle w miarę mówienia Wielohradzkiego chce przyjść do słowa).*

Panie!

Wielohradzki.

Tak jest, panie! Działasz pan nieuczciwie, zmownie przeciwko mnie; wykręcasz się pan kodexem tam, gdzie idzie o honor i uczciwość!

Stockfindel *(j. w.).*

O honor! ja się wykręcam! ależ...

Wielohradzki.

Kogo pan wybierasz za sędziów? kogo? swoich przyjaciół, bankierów, tak jak pan, i ci mi prawią o kodexie! Uprzedziłeś ich pan, możeś im wskazał odpowiednie artykuły.

Stockfindel.

Daj pan mi mówić!

Wielohradzki.

Nie, panie! Pan-byś znów działał podstępnie, mówił-byś pan nieprawdę!

Stockfindel.

Pozwól pan...

Wielohradzki.

Nie, nie pozwolę! Niech się to raz skończy!

Stockfindel *(j. w.)*

Oj! niedobrze mi jest!

Wielohradzki.

Aha! rozczulaj mnie pan swoją chorobą!

Zwykła pańska taktyka, jak tylko dopominam się o swoje prawa.

Stockfindel *(j. w.)*.

Moja taktyka, mój żołądek!

Wielohradzki *(bijąc pięścią w stół)*.

Tak jest, taktyka, powtarzam, do wszystkich dyabłów!

Stockfindel.

Ojéj! rozbijać zaczyna!

Limburg.

Panie Wielohradzki, uspokój się pan! Przecież nie wypada na człowieka z dobrego towarzystwa, z naszéj sfery...

Pimbeche.

Bisiu, umityguj się! Możesz mieć słuszność, ale łamać stołów nie potrzeba.

Wielohradzki.

Tak! tobie łatwo uspokajać innych, kiedy sam masz teścia, który umié z tobą wychodzić. Kiedy ja straciłem wieś, czy mi pan Stockfindel drugą kupił? a tobie pan Limburg już drugi dom kupuje, a żeś go sprzedał, kupi ci trzeci.

Limburg.

To on drugi sprzedał!

Wielohradzki.

Toś pan o tém nie wiedział?

Limburg.

Hrabio! no, gadaj hrabio! czyś ty dom sprzedał?

Pimbeche.

Ee! od kiedy!

Limburg.

Od kiedy! od kiedy! Słyszałeś pan, panie Stockfindel! Sprzedał dom za sto pięćdziesiąt tysięcy rubli! drugi dom za 150 tysięcy!

Pimbeche.

Za sto czterdzieści! nie przesadzajmy! Ja wziąłem za niego wszystkiego sto dwadzieścia! Sprzedałem ze stratą.

Limburg.

Ze stratą! Ja apoplexyi chyba dostanę! uduszę się! Mieć takiego zięcia!

Pimbeche.

Papo teściu! Ja nie przyszedłem tutaj słuchać impertynencyi, tylko pośredniczyć w sprawie mojego przyjaciela! Z chwilą, jak to przybiera charakter gwałtowny... żegnam (*nuci*)

Zostańcie w pokoju!
Opuszczam plac boju
I biegnę, gdzie miłość mnie wzywa.

Chodź, Bisiu, pójdziemy razem!

Wielohradzki.

Tak! wobec widocznéj złéj wiary pana Stockfindla, i ja zrywam posiedzenie. (*Wychodzą z Pimbechem*).

Stockfindel.

On zrywa wobec mojéj złéj wiary!... słyszałeś pan, panie prezesie! To już nie bólu żołądka, to cholery można dostać.

Limburg.

Drugi dom marnuje i ja mu impertynencye gadam!

Stockfindel.

Mam jeszcze dwie córki, jak takich jeszcze dostanę rozbójników, to już mnie dobiją napewno.

Limburg.

Ja mam Lolę, ale to już się skończyło! dość mi jednego hrabiego.

Żelski (*stał we drzwiach oranżeryi od wyjścia Pimbeche'a i Wielohradzkiego d. s.*).

Zdaje mi się, że teraz pora. (*Gł.*) Szanowny panie prezesie, chciałbym z panem pomówić.

Limburg.

Służę panu! Czy pan wiedziałeś, że hrabia dom sprzedał?

Żelski.

Zdaje mi się, że mi coś o tém wspominał.

Limburg.

Nowy dom! prawie pałac! i gdzie on mógł podziać te pieniądze?

Żelski.

Widzę, że złą wybrałem chwilę, jesteś pan zirytowany tą wiadomością.

Limburg.

A ktoby się nie zirytował, proszę pana! Przecież i ja pieniędzy nie fabrykuję! Trudno! Żal i gniew nic nie poradzą! Słucham pańskiego interesu!

Żelski.

Tu nie o mnie chodzi, tylko o mojego przyjaciela Horskiego.

Limburg.

Panie! jeśli on ma być taki jak Pimbeche...

Żelski.

Pozwoli pan prezes! ja wcale nie wiem, jaki on będzie, tém więcéj, że nie mam od niego mandatu...

Limburg.

No tak, ja rozumiem! To nie oficyalne oświadczenie, tylko krok przedwstępny.

Żelski.

Powtarzam panu, że działam bez upoważnienia; tylko, jako jego przyjaciel, chciał-bym wiedziéć...

Limburg.

Co?

Żelski.

Na wszelki wypadek, jaka-by była intercyza przedślubna panny Eleonory?

Limburg.

Intercyza? żadnéj intercyzy nie będzie! dosyć mam téj intercyzy! Spytaj się pan pana Stockfindla, jak się wychodzi na intercyzach.

Stockfindel.

Oj, źle panie, bardzo źle!

Limburg.

My mamy dosyć tych naszych zięciów, już nam więcéj takich nie potrzeba, za drogo nas kosztują.

Stockfindel.

Mój, żeby był ulany ze złota, to jeszcze-bym go przepłacił, a przecie taki duży, jak byk!

Limburg.

Lola jest dość piękna na to, ażeby męża znalazła dla siebie saméj, a nie za posag; to téż powiedz pan swojemu przyjacielowi, że się źle wybrał z targami i że ja...

SCENA SIÓDMA.

Ciż, Lola i Horski.

Lola.

Mój ojcze! pan Stanisław pragnie z ojcem pomówić.

Limburg.

Ja już wiem, o co chodzi, i nie zgadzam się wcale.

Stockfindel *(n. s. do Limburga).*

Dobrze, panie prezesie, dobrze! Postawmy się energicznie! Daj pan dobry przykład.

Lola.

Jak to, na co się ojciec nie zgadza?

Limburg.

Na kupno nowego zięcia! Mam dosyć jednego takiego nabytku.

Horski.

Panie, pan mi ubliżasz! Nie dałem panu w niczém prawa...

Stockfindel (*j. w.*).

A co! już mówi o prawie!

Limburg.

Ja panu wcale nie miałem zamiaru ubliżać, tylko co do intercyzy...

Żelski.

Ależ, panie prezesie, Staś wcale nie wspominał, aby...

Limburg.

Już ja to umiem na pamięć; kto inny-by za niego wspomniał.

Horski.

Panie, gdyby nie pańska córka...

Limburg.

Którą pan kochasz! I mój zięć Pimbeche też tak zaczynał, aż drugi dom sprzedał.

Stockfindel.

Mój ciągle to powtarza, a żonę bije.

Lola.

Ojcze, ależ pan Horski nie jest podobny ani do mego szwagra, ani do innych.

Limburg.

Pozwól, moja córko! ty się nie znasz na tém!

Stockfindel (*j. w.*)

Taka młoda! ona jeszcze tego interesu nie rozumié.

Horski.

Ale ja poznałem, panie Limburg, jak sromotną w pańskich oczach odgrywam rolę. Wziąłeś mię pan za handlarza, jak innych! Sądziłeś pan, że proponuję panu sprzedać nazwisko i siebie, i że przychodzę targować się o cenę! Pomyliłeś się pan, ale nie dziwię się panu wcale! W komedyach i dramatach, które się tu rozgrywają, wyście oszukani, a my oszukujący i nasza to wina, że nie wierzycie w uczucia tam, gdzie doświadczenie nauczyło was widzieć interes. Panno Eleonoro, daruj mi! nie mogę już z ojcem pani mówić o tobie! On-by mi nie uwierzył i ja już nie uwierzył-bym sam sobie. Żegnam panią. (*Wybiega*).

SCENA ÓSMA.

Limburg, Stockfindel, Żelski, Lola,
potém **Elżbieta.**

Lola.

Mój ojcze! ja nie wiem, co ci mam do powie-

dziéć! Czyż nie czujesz, że to człowiek szlachetny! że on mię kochał i żeś ty wykopał przepaść między nami! Serce mi rozdarłeś, ojcze, i płaczę, żem się urodziła twoją córką.

Limburg.

Lolu! dziecko! słuchaj! Ja nie wiedziałem, że on taki ambitny! Zapomniałem, że on krewny Giedymina! Lolu, ja to naprawię, zobaczysz.

Lola.

Nie, mój ojcze! tego już naprawić nie można.

Limburg.

Dam mu trzy domy, jak będzie potrzeba!

Lola.

Ojcze, gdyby on był do kupienia, jabym po nim nie płakała.

Żelski *(d. s.)*.

Żal mi jéj! może jéj serce warte więcéj, niż moje uprzedzenia!

Elżbieta.

Co to jest! Co się stało! Horski wybiegł ztąd nieprzytomny, nie żegnał się z nami.

Lola.

Poszedł i nie wróci.

Elżbieta (*do Żelskiego*).

To pan zrobiłeś! Coś mu pan powiedział?

Żelski.

Pokazałem mu źwierciadło magiczne i powiedziałem: patrz!

Elżbieta.

I cóż w niém zobaczył?

Żelski.

Siebie... zięciem.

Limburg (*do Elżbiety*).

Pani! to trzeba koniecznie naprawić! Lola-by to przechorowała; ja mu dam, ile zechce, posagu.

Elżbieta.

Ha, sprobuję, choć to będzie trudno!

Stockfindel (*d. s.*)

Ja myślałem, że on głupi, a on najsprytniejszy ze wszystkich! Dadzą mu, ile zechce, i jeszcze go się będą prosili! Oj, te kobiety, kobiety! I pomyślić, że ja mam jeszcze dwie córki na wydaniu, a taki słaby żołądek!

AKT V.

Ten sam pokój u Limburga.

SCENA PIÉRWSZA.

Lola, Zofia.

Lola.

Z tego, co pani mówi, wnoszę, że jesteś naprawdę dzieckiem szczęścia.

Zofia.

Mam do niego o wiele mniéj warunków od pani.

Lola.

Tak, to prawda! my mamy bale, rauty, teatr, koncerta, zabawy dobroczynne i co tam jeszcze? już nie pamiętam! W tym wirze zapomina się o wszystkiém.

Zofia.

Dlaczegoż zatém skarżysz się pani?

Lola.

Czemu się skarżę? Istotnie, czemu ja się skarżę, kiedy tak łatwo-by było cieszyć się, śmiać, ach, jak śmiać!... ze wszystkiego, nawet z siebie saméj! Poczekaj, panno Zofio, będziemy się śmiały; opowiem ci mój sen. Śniło mi się, że rosłam kwiatem w ogrodzie i tak ciągnęłam w górę, tak męczyłam moję biedną łodygę, aż moja korona przeniosła wszystkie inne kwiaty i wznosiła się sama najwyżéj, królując nad niemi. Teraz mnie

zobaczy motyl napewno, mówiłam sobie! Tymczasem, zamiast motyla, przyszedł niegrzeczny dzieciak z cynową szabelką do ogrodu. Spostrzegł kwiat, który piął się wyżéj od innych, uderzył i biedna korona spadła do błota, gdzie różnobarwne jéj listki podziobały wróble. Prawda, że to zabawny sen?

Zofia.

Opowiadasz go pani smutnie...

Lola.

Przeciwnie, morał z niego mogła-bym śpiewać na nutę operetkową, jak mój szwagier Pimbeche: że nie trzeba głowy za wysoko podnosić i chcieć patrzéć w słońce, bo... bo to szkodzi na oczy... Więc pani już opuszcza Warszawę?

Zofia.

Zdaje się, że dziś już plany tatki ostatecznie się rozbiją, o czém właśnie narada toczy się w gabinecie ojca pani. W takim wypadku nie mamy tu już co dłużéj robić. Wrócimy do swoich, trochę ubożsi pewno, ale zawsze szczęśliwi z tego, że będziemy razem.

Lola.

Czy jedziecie państwo tylko sami?

Zofia.

A któż-by miał jechać z nami?

Lola.

Kuzyn pani, pan Horski.

Zofia.

Od kilku dni nie widzieliśmy go! przypuszczałam, że go tu spotkamy.

Lola.

Z nami już się pożegnał. Czy pani często widujesz go na wsi?

Zofia.

Codziennie prawie; mieszkamy o miedzę.

Lola.

Musisz pani często spacerować w tym kierunku?

Zofia.

A to dlaczego?

Lola.

Żeby spotkać kuzynka.

Zofia.

Nigdy mi to przez głowę nie przeszło.

Lola.

Więc nigdy serduszko pani nie zabiło silniéj dla niego?

Zofia.

Czy to badanie ma na celu uspokojenie pani, czy też chęć podrażnienia mnie, gdyby przypuszczenia pani były słuszne?

Lola.

Przyznaj się pani, że go kochasz.

Zofia.

Gdyby nawet tak było, pani-bym o tém powiedziała ostatniéj.

Lola.

Lękała-byś się rywalki?

Zofia.

Nie rozumiem tego wyrazu.

Lola.

Jakto! nie rozumiész pani, że można kogoś kochać i zazdrościć jego uczucia innéj?

Zofia.

Kochać można, to rozumiem, ale zazdrościć! Nie szukając allegoryi snów, powiem pani, że ja należę do rodziny kwiatów średniéj miary, które nie znoszą zbytniego zimna, ale i upałów podzwrotnikowych nie pragną. Uczucia nasze idą w parze z usposobieniem, łagodzi je może rodzinna atmosfera wiejskiego dworku i nigdy téż nie są nazbyt gwałtowne. My umiemy kochać, ale nie wybuchamy wezbraną lawą uczucia; umiemy się smucić, ale nie rozpaczamy; straty umiemy przeboléć, krzywd zapomniéć, a pocieszać się... w kościele.

Lola.

O! na jakież-to poważne weszłyśmy tory! I to wszystko z samego podejrzenia o miłość kuzynka.

Zofia.

Istotnie, może rozmowa niezbyt właściwa dla młodych panienek, ale nie mogłam pani zostać dłużną w odpowiedzi, gdy zwłaszcza byłam dyskretniejszą od pani w pytaniach.

Lola.

Pani wiész o wszystkiém; ja to odgadłam od razu.

Zofia.

Tak jest, wiem.

Lola.

I wiész pani, że to zerwane?

Zofia.

Nie! o tém nie wiedziałam.

Lola.

A zatém, ja pani to mówię. Ciesz się pani.

Zofia.

Żałuję pani tylko, bo musisz cierpiéć.

Lola.

Ja nie chcę, żeby mnie żałowano. Nikt! a pani bardziéj niż ktokolwiek inny! Czy pani sądzisz, że nie dostanę męża, który mnie będzie kochał? Od czegoż miliony mojego ojca, zręczność Elżbiety, wreszcie moja uroda, młodość? Myślisz pani, żem zrozpaczona, a ja taka jestem wesoła!... Chcesz pani walcować? walcujmy. Będziemy sobie w takt śpiewać. Czy znasz pani tę piosnkę? (*nuci*)

Ino mi tych oczu żal,
Bo ich więcéj nie zobaczę!

Zofia.

Biedna! ty płaczesz!

Lola.

A więc tak, płaczę! Płaczę, żem nie wyrosła tak, jak ty, wśród ludzi, którzy kochają, ale wśród tych, którzy zazdroszczą i nienawidzą. Na pensyi my nie mamy koleżanek, prześladują nas lub wyśmiewają! W życiu spotykamy znajomych, pochlebców, ale przyjaciół nigdy! Ludzie się do nas garną tylko z interesu, aż ojcowie nasi kupią nam

mężów. Ja nie wiem, jakie są winy moich rodziców, ale żądam prawa życia dla siebie i odmawiają mi go. Mężczyzna może się bronić, ale kobieta, która sercem żyje, gdy jéj się to serce wydziera, cóż jéj pozostanie! Bóg nie jest tak mściwym na dziesiąte pokolenia, jak ludzie w tym kraju nad nami.

Zofia.

Trzeba ich pokonać... miłością.

SCENA DRUGA.

Ciż, Elżbieta i Żelski.

Elżbieta.

Lolu, prowadzę ci gościa, który przychodzi zapowiedzieć ci...

Żelski.

A, niechże pani pozwoli, żebym ja sam wywiązał się z danego mi komisu. Śliczna panna Zosia zabawi panią przez chwileczkę, a ja przez ten czas załatwię moję misyą.

Elżbieta.

Więc ciągła tajemnica? Wygląda to na groźne próby wolnomularskie, które nikogo już dziś nie straszą. Zresztą, pański sekret jest znany, a ja wiedziałam z góry, że się to tak skończyć musi.

Żelski.

Jak?

Elżbieta.

A, nie, nie! *Je ne veux pas déflorer votre nou-*

velle! Naprawiaj pan sam, coś zepsuł! będziesz miał pokutę i zasługę. Panno Zofio, podaj mi rączkę, pójdziemy obejrzéć storczyki. Tylko bankierów stać na tak kosztowne kwiaty. Ten biedny Finger, który wzdycha do ciebie...

Zofia.

Pani, ja nie jestem storczykiem. (*Rozmawiają z Elżbietą przy oranżeryi, nie schodząc ze sceny*).

Lola.

Co mi pan przynosisz?

Żelski.

Prośbę o chwilową audyencyą, najprzód dla mnie, a potém dla niego.

Lola.

On już mnie pożegnał; a pan? Czego pan życzysz sobie ode mnie?

Żelski.

Pragnę pozyskać od pani przebaczenie.

Lola.

Za co?

Żelski.

Mam skrupuł sumienia, wątpliwość, którą pani jedna rozwiązać mi możesz.

Lola.

Słucham pana.

Żelski.

Wié pani, że byłem przeciwny małżeństwu pani z Horskim?

Lola.

Wiem. Nie przyjdzie do skutku; powinieneś pan być zadowolony.

Żelski.

A jednak pani go kochasz?

Lola.

Zapomnę.

Żelski.

I on panią kocha.

Lola.

Ożeni się z Zosią i...

Żelski.

Głos się pani łamie, a więc nie zapomnisz go pani tak łatwo. A jednak, tak jak się dziś kwestya przedstawia, jest prawie niemożliwą do rozwiązania.

Lola.

Przecieżeś ją pan rozwiązał? Co panu znaczy, że jedna biedna dziewczyna popłacze trochę! Mam złoto, jak król Midas, tylko że ono mu nie zastąpiło pokarmu, a mnie nie zastąpi... życia.

Żelski.

A! gdybyż nie ten majątek, sądzi pani, że onby się wahał chociaż chwilę; lub że ja-bym mu odradzał iść za głosem serca? Boć nareszcie kochacie się.

Lola.

Po co mnie pan badasz? Powiedziałeś pan sobie: jeśli go zapomni, tom dobrze zrobił, rozdzielając ich; jeśli z tego umrze, to będę miał

wyrzut, i chcesz pan wyprobować z tego, co powiem, jaka będzie moja przyszłość: umrę, czy zapomnę? Osądź pan sam, gdy tak znasz ludzi. Ale przedewszystkiém, poco ta rozmowa ze mną? Pan masz swoje zasady, muszą być uczciwe i wzniosłe, gdy są tak bezwzględne i niewzruszone. Stosujesz je pan w życiu do dwojga ludzi, —ulegają im, o cóż panu chodzi? Wóz pańskich przekonań jedzie szerokim gościńcem utartych uprzedzeń. Zachrzęściało coś pod kołami! jeśli to tylko noga lub ręka jakiegoś biedaka, pan się nie obejrzysz nawet; niech pojęczy trochę, wygoi się z czasem! Zasady tryumfują. Ale jeśli tam była głowa, serce, jeśli rany są śmiertelne, wtedy pan Żelski ma skrupuł sumienia. Zawracać już ani sposób, ale może-by trochę unieść koła! Niech i do płuc biedaka dostanie się trochę powietrza, niech mu śmierć będzie lżejszą; on był wyjątkiem, bo umiera. A, panie Żelski! nie o mnie już chodzi, mój los nie w moich, ani w pańskich ręku, ale o te wyjątki wśród nas, które garną się do was sercem, a które wy odtrącacie szyderstwem, nie patrząc, czy wpadną w przepaść — czy, podeptani, zbłotnieją w kałuży życia!

Żelski.

Odpowiem pani krótko. Brutus posłał swojego syna na śmierć, wielbię go za to, ale wolę... nie być synem Brutusa. W naszém społeczeństwie, zięciowie bankierscy mają złe firmy. Czy są wyjątki? prawdopodobnie. Ale ja wolałem, aby młody chłopiec, któregom w świat wprowadzał, nie rehabilitował sobą sprawy bardzo wątpliwéj w opinii ogólnéj. Wszystko, co dobre i prawdziwe,

musi z czasem zwyciężyć! może i takie małżeństwa kiedyś staną się chlebem powszednim, jeśli mają uczciwe powody bytu. W każdym razie, to są początki i niezbyt przyjemne dla tych, którzy idą w awangardzie. Żem w tym piérwszym szeregu przyjaciela widziéć nie chciał, cóż w tém dziwnego? Tymczasem miłość się w to mieszała i pytam sam siebie bez uprzedzeń, przeciwnie, z całą życzliwością, jaką mam dla pani: co lepsze? przeboléć doznany zawód, czy walczyć całe życie?

Lola.

Z czém?

Żelski.

Z wiatrakami, ale ludzkich języków... z kłóciem szpilek!...

Lola.

Panie, ja już powiedziałam swoje, a dyskutować... po co? wszakże on już nie wróci.

Żelski.

Przeciwnie; przyjdzie za chwilę. Dostał list od ojca pani.

Lola.

Jakto! mój ojciec pisał?...

SCENA TRZECIA.

Ciż i Marya.

Marya.

Czy tu niéma Elżbiety? A, jesteś nareszcie! myślałam że cię już nie znajdę. (*Do Elżbiety n. s.*)

Zlituj się, wypraw ich wszystkich, ja muszę z tobą pomówić w téj chwili.

Elżbieta (*do Maryi n. s.*)

Cóż tak gwałtownego?

Marya (*j. w.*).

Dowiesz się, ale na miłość bożą niechże nas zostawią samych.

Elżbieta.

Panie Żelski, bądź łaskaw towarzyszyć pannom do ogrodu; hrabina potrzebuje ze mną pomówić.

Żelski.

Z największą przyjemnością. Służę paniom.

Lola (*do Żelskiego n. s.*).

Więc on przyjdzie? i znowu Elżbieta to układała?

Żelski (*do Loli*).

Widzi pani, jakie to wszystko ma pozory.

Zofia (*d. s.*).

I ta mi mówi o Fingerze! doprawdy tego już zawiele! Szczęściem, że to już pewno ostatnia konferencya tatki. (*Zofia, Lola, Żelski wychodzą do ogrodu*).

SCENA CZWARTA.

Elżbieta, Marya.

Elżbieta.

Cóż ci się takiego stało? czemu tak jesteś przerażona?

Marya.

Mój mąż!

Elżbieta.

Umarł! zabity, ranny? Może uciekł?

Marya.

Gorzéj!

Elżbieta.

Przestępstwo kryminalne?

Marya.

Spotkał mnie, gdym wychodziła od księcia Romana.

Elżbieta.

Ah!... Poznał cię?

Marya.

Widocznie czekał na mnie! musiał być uprzedzony! ktoś nas zdradził.

Elżbieta.

Może list przejął?

Marya.

Nie, nie pisywaliśmy do siebie.

Elżbieta.

Jakto, bez listów?

Marya.

Znaleźliśmy inny sposób porozumienia.

Elżbieta.

Powiesz mi potém! Gdy cię spotkał, mówiłaś co do niego?

Marya.

Nie! Działo się to przed sienią — odtrąciłam

go ręką i kazałam się wieźć do ciebie, a nie zastawszy cię, przyjechałam tutaj. Jestem przekonana, że mnie gonił i, że nie znalazłszy w domu, tutaj przyjdzie. Wybada ludzi, stangreta, lokaja i będę zgubioną. Ja tego nie przeżyję! Nie pozostaje mi nic, tylko śmierć.

Elżbieta.

E, moja droga, dajże pokój! żeby się kto o takie rzeczy zabijał, toby połowa z nas była już w grobie.

Marya.

No, ale co robić? co mu powiedzieć, jak przyjdzie! Radź, jesteś doświadczeńsza ode mnie.

Elżbieta.

Czy jesteś pewna, że w twoim pokoju, gdzieś, w jakiéjś skrytce, niéma jakich listów, kartek kompromitujących?

Marya.

Ależ nie, porozumiewaliśmy się za pomocą krawatów.

Elżbieta.

Krawatów? A to coś nowego!

Marya.

To pomysł księcia! Mąż jadał śniadanie z nim razem w klubie i stosownie do tego, czy miał krawat kolorowy, czy czarny...

Elżbieta (*podchwytując*).

Znaczyło: „czekaj mnie“ „albo nie mogę przyjść“. Rozumiem, to nieźle pomyślane! Ktoś was musiał zdradzić, albo téż twój mąż był tam wypadkiem tylko!

Marya.

To być nie może! cóżby robił w alejach o téj godzinie?

Elżbieta.

Albo ja wiem! A, jeszcze jedno! Mówiłaś, żeś jeździła własnym powozem, z lokajem i stangretem.

Marya.

Tak jest!

Elżbieta.

Nie pora teraz dawać ci nauki moralne, ale to jest szczyt nieoględności! Jak można spuszczać się na dyskrecyą służby. Od czegoż są dorożki lub karety wynajęte? Ty jesteś niedoświadczona, ależ ten książę, niech mi daruje...

Marya.

Stawali na rogu dwóch ulic, a ja mówiłam, że idę do biednych.

Elżbieta.

Tak, oni tacy naiwni!

Marya.

Stało się! ale radź mi, co ja mam robić? on tu napewno przyjdzie.

Elżbieta.

Czy przyjechałaś tutaj tym samym powozem?

Marya.

Tak jest! mówiłam ci już, że jadę od ciebie.

Elżbieta.

Pozwól! pójdę się rozmówić z twoimi ludźmi! Jeśli twój mąż przyjdzie, do niczego się nie przy-

znawaj; pamiętaj jedno: śmiéj się, płacz, śpiewaj, miéj atak nerwowy... tylko się nie przyznawaj. W takich przygodach przedewszystkiém bezczelność i *toupet*.

Marya.

No tak! ale jeśli mnie poznał?...

Elżbieta.

Posłuchaj, poświęcę się dla ciebie i ocalę cię, choćby moim kosztem.

Marya.

O, moja droga! Czém-że ci odwdzięczę?

Elżbieta.

Mam kuzyna bez miejsca... wakuje naczelnikowstwo w banku.

Marya.

Licz na mnie! wyproszę od ojca, choćby mi przyszło powiedzieć mu... No, wolę przecież wszystko, niż skandal. Ah! jeśli mnie drugi raz na to złapią!

Elżbieta.

Nie zarzekaj się! Kobieta nie może być nigdy pewną dnia ani godziny! No, zwłócz go jak będziesz mogła, do mojego powrotu! Miałaś ten sam kapelusz?... Poco pytam? woal długi i ciemny! Daj mi swój kapelusz! No, śmiało; trzymaj się ostro! Drżysz! biedna! jak znać, że to twój piérwszy wypadek! *du toupet ma chère, du toupet:* Jak się w to wpada, to jedyny ratunek: bezczelność! *(Wychodzi na prawo).*

SCENA PIĄTA.

Marya, potém Pimbeche.

Marya.

Łatwo to powiedzieć! No, jeśli tym razem wybrnę cało, ślubuję sobie nigdy tam nie chodzić! Wolę już... niech on do mnie przychodzi. *(Spostrzega męża)* Ach! otóż i moment psychologiczny!

Pimbeche *(wchodzi gwałtownie; zabłocony, włosy w nieładzie, krawat przekręcony).*

Pani!

Marya.

To ty, Anatolu!

Pimbeche.

Tak, to ja!

Marya.

Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

Pimbeche.

Ani w alejach...

Marya.

Co mówisz?

Pimbeche.

Pani, nie grajmy komedyi! to się na nic nie przyda; ja wiem o wszystkiém!

Marya.

O czém?

Pimbeche.

O czém? Ona mnie pyta o czém! O, kobieto marna! o nędzna istoto!

Marya.

Cóż to znaczy? zmieniasz rodzaj?! z operetki przechodzisz do dramatu?

Pimbeche.

Tak pani; dramat—to za mało, to tragedya; tragiczne téż będzie miała zakończenie.

Marya (*d. s.*).

Nie bardzo straszny! (*gł.*) Wiész, z operetką było ci bardziéj do twarzy. (*d. s.*) Zyskajmy na czasie. (*gł.*) Pamiętasz z Gasparone: (*śpiewa*) „Noc czarna skryła świat.“

Pimbeche (*machinalnie śpiewa za nią*).

„Gwiazd nawet promień zbladł.“ (*Urywa nagle*). Nie! nie będę śpiewał! Ja przyszedłem wybuchać! ja chcę wybuchać!

Marya.

No, to wybuchaj, ja ci nie przeszkadzam! Tylko pozwól... ubranie twoje nie jest w porządku! włosy masz potargane, krawat przekręcony.

Pimbeche.

Tu cię czekałem! Zakazuję pani dotykać mojego krawata!

Marya.

Ależ, Anatolu, pomiarkuj się!

Pimbeche.

Ja nie chcę się miarkować! ja chcę wybuchać! Przychodzę do klubu, a ci mnie witają chórem, na nutę z „Życia paryzkiego“ (*nuci*): „Nasz Anatol jasny krawat ma... krawat ma. Co ma

znaczyć nowa moda ta... moda ta"?... Nie, nie będę śpiewał!

Marya.

Jużeś to mówił.

Pimbeche.

To oni śpiewali i śmieli się! I ja się śmiałem, ale przestałem wkrótce! Pytam ich, czego się śmieją? Nie odpowiadają i śmieją się coraz bardziéj! Wreszcie Zdziś powiada mi, że książę Roman jest słaby, nie mógł być w klubie, ale prosił Jerzego, żeby mu przysłał kartkę, jaki ja będę miał krawat! Zaciekawiło mnie to! Dlaczego on się interesuje mojemi krawatami! krawatami, które pani mi wiązałaś własnemi rękoma! Siadam w dorożkę, jadę do Romana! Dzwonię, lokaj powiada, że pan nie przyjmuje. Zajęty! będzie wolny dopiéro za godzinę! Coś mnie tknęło! Stanąłem przed sienią — czekam! W trzy kwadranse może, wyszła kobieta z sieni domu! Pani wiész, kto była ta kobieta!

Marya.

Nie, nie wiem.

Pimbeche.

Aa! nie wiész pani! Chciałem ją chwycić za rękę, odepchnęła mnie silnie! potknąłem się i zdążyła uciec. Wsiadła na rogu do karety! Pani nie wiész, czyja była ta kareta?

Marya.

Zkądże ja mogę wiedziéć, za czyją karetą pan goniłeś!

Pimbeche.

Wpadłem w błoto! zawalałem się! O, przewrotności! twoje nazwisko: kobieta! Przyjechałem do domu, nie było cię! Odbiłem twoje biurko! nic w niém nie znalazłem.

Marya (*d. s.*).

Dobrze Elżbieta przewidziała.

Pimbeche.

Wziąłem rewolwer i przyjechałem tutaj! Wiarołomna żono, gotuj się na śmierć! Zabiję ciebie i twojego uwodziciela!

Marya.

Proszę cię, schowaj tę broń! możesz mnie skaleczyć wypadkiem.

Pimbeche.

O małoduszna! znać gniazdo, z którego pochodzisz... córka kupca!

Marya.

No, nie poniżaj mnie tak znowu dlatego, że twój jakiś przodek golił brodę króla.

Pimbeche.

Golił! Pani! brabia Pimbeche czuwał nad peruką królewską!

Marya.

No, więc twój przodek nie golił, ale za to jego potomek goli mojego ojca.

Pimbeche.

Nędzna kobieto! miałem wybuchać, alem jeszcze

się hamował... (*Elżbieta wchodzi w kapeluszu Maryi na głowie*).

SCENA SZÓSTA.

Marya, Pimbeche, Elżbieta.

Marya (*d. s.*).

A, nareszcie!

Pimbeche (*patrząc na kapelusz Elżbiety*).

Co to jest?

Elżbieta.

No ja! czegoż się pan tak wpatrujesz we mnie?

Pimbeche.

Jakto, ten kapelusz?...

Elżbieta.

Podoba się panu?

Pimbeche.

Nie, ale...

Elżbieta.

Dziękuję ci, Maryo, za karetę; jużem ci odesłała.

Pimbeche.

Pani jeździłaś karetą mojéj żony?

Elżbieta.

Jest tak dobrą, że mi ją przysyła od czasu do czasu.

Pimbeche.

Więc to panią spotkałem przed godziną?

Elżbieta (*patrząc na niego znacząco*).

Gdzie? Robiłam dziś kilka wizyt, nie wiem zatém gdzie mnie pan spotkać mogłeś. Byłam także u mojéj modniarki na Nowym-Świecie, w tym samym domu, w którym mieszka jedna z baletnic; nie mogę sobie przypomnieć nazwiska; pan wiész pewno... jakaś panna Klotylda...

Pimbeche.

Nie, pani, nie wiem! ja nie znam żadnych baletnic! Żonusiu, zapewniam cię... że jeśli-by przez jakąś pomyłkę mówiono ci...

Marya.

Daj mi pan pokój! po tém, co zaszło, nie pozostaje mi, jak prosić ojca, aby mnie od pana uwolnił.

Pimbeche.

Rozdzielić się z tobą! nigdy! za wiele-by mnie to kosztowało. (*do Elżbiety*) Pani, wytłómacz jéj pani, że książę Roman, Klotylda, krawaty, przewróciłem się w błoto, powalałem się...

Elżbieta (*d. s.*)

Wszystko mu się pomieszało.

Pimbeche.

To była prosta pomyłka. Inną kobietę wziąłem za nią! Nie panią, broń Boże!

Elżbieta.

Marya ma słuszność: nie trzeba brać innych kobiet za własną żonę.

Pimbeche.

Krótki wzrok! przytém ta ruchliwość moja... potknąłem się! W klubie śpiewali na nutę życia paryzkiego; „Nasz Anatol jasny krawat ma“, to mnie doprowadziło do wściekłości.

Marya.

Rozbił moje biurko.

Elżbieta.

Co? Pan rozbiłeś biurko swojéj żony?

Pimbeche.

Przez pomyłkę! Szukałem papierów ważnych, listów! ale każę je naprawić.

Elżbieta.

Listów pan szukałeś? (*na stronie do Pimbeche'a*) pewno panny Klotyldy?

Pimbeche (*n. s. do Elżbiety*).

Pani! słowo honoru, nic nie powiem o dzisiejszém spotkaniu nikomu, tylko dyskrecya wzajemna... (*gł.*) Wstaw się pani za mną do niéj! Boże! ja mogłem podejrzéwać takiego anioła!

Elżbieta (*n. s. do Maryi*).

Nie! wiész? jego nawet oszukać nie warto! (*gł.*) No, pogódźcie się państwo i przebacz hrabiemu wspaniałomyślnie, choć nie wiem, co zawinił. (*do Maryi*) A pamiętaj o moim kuzynie.

Marya (*do Elżbiety*).

Nie zapomnę, bądź spokojną.

Pimbeche.

Żonusiu! (*do Maryi n. s.*) Wziąłem ją za ciebie! nie kompromitujmy kobiety. Ale wiész, na przyszłość, jak ma tam jeździć, to już nie w twojéj karecie.

Marya.

Bądź spokojny — już naszą karetą tam nie pojedzie. Więc myślałeś że (*nuci walca z Gasparone*)

Panie małżonku za drzwiami stój,
Bo koło żony przyjaciel twój.

Pimbeche (*za Maryą*)

I każdy wié, to trafia się
Prawie w każdéj familii.

Elżbieta (*d. s.*).

No, teraz się porozumieli! harmonia w małżeństwie przywrócona.

SCENA SIÓDMA.

Ciż, Dormund, Finger i Stockfindel, wchodzą z prawéj; **Żelski, Lola, Zofia** z ogrodu; potém **Limburg,** wreszcie **Horski.**

Dormund.

Dajcie mnie panowie spokój! Ta ja już mam dosyć tego wszystkiego.

Finger.

Ależ, panie łaskawy...

Dormund.

A łaskawyż pan jesteś na mnie! Nie wstyd-że panu? Z przeproszeniem, takoż wyglądasz, jak *dydko* i przywidziało ci się, co ja tobie córkę oddam! Toż Boga w sercu-bym nie miał! Takoż przypatrz się sobie, człowieku, gdzieże tobie do mojéj dziewczyny!

Finger.

Panie! mój majątek...

Dormund.

Ja wiem, co u was wszystko kupić można! no, ale moja Zosia nie na sprzedaż takoż! Tu w mieście handel urządzacie! Mąż, żona, zięcie, teściowie, wszystko przez pieniądze! No, nas jeszcze nie kupicie, kochanieńki! Zosia! zabierajmy się! jedziem do Margaliszek! Straciłem ja ci, dziecko, posagu trochę, naciągnęli tutaj źli ludzie, ale takoż, nie za browar, a za wszystkie ich skarby, jabym cię nie dał takiéj paskudnéj kreaturze!

Finger.

Panie! za takie słowo...

Dormund.

To nie wyzywaj kochanieńki, bo powiem grubiéj! (*do Elżbiety*) I téj pani téż słówko powiem!

Elżbieta.

Panie, spodziewam się, że dla kobiety...

Dormund.

At! co mnie takie kobiety!... (*do Żelskiego*) Miałeś racyą, krewniaku, to nie nasz świat!

Finger (*do Stockfindla*).

Widziałeś pan, jaki grubijanin?

Stockfindel (*do Fingera*).

Niemożna mu się dziwić! Małżeństwo z panem, to była-by kiepska antrepryza!

Finger.

Jestem zakonserwowany...

Stockfindel.

Jak ryba w galarecie! trzęsie się i niezdrowa na żołądek.

Limburg (*wchodząc, do Dormunda*).

Panie Dormund, chciałem pana uspokoić, że co do maszyn, to ja je wezmę do moich fabryk, stracisz pan trochę... (*spostrzega wchodzącego Horskiego*) A! pan Horski, nareszcie!

Horski.

Otrzymałem list pański i przychodzę powiedzieć panu, że jakkolwiek zraniłeś mnie boleśnie...

Limburg.

Pozwól pan, to się wszystko naprawi! Pomów pan z Lolą; widzisz pan, jaka zmieniona, blada!

Horski.

Prawda.

Limburg.

To wszystko przez pana! Ale ja panu tego nie będę rachować i intercyzę zrobimy taką, jak ją pan sam podyktujesz.

Horski.

Ależ panie, czy pan nie rozumiész, że to właśnie jest powodem...

Lola (*podchodząc do nich*).

Pozwól, mój ojcze, mnie jeszcze chwilkę pomówić z panem.

Limburg (*odchodząc od nich*).

Porozumiejcie się, ja niczego więcéj nie pragnę.

Lola.

Te kilka dni przekonały pana pewno, że choć nas serca łączą, ludzkie sądy rozdzielają. Walczyć z opinią... za ciężko! łamie ona najsilniejszych, a choć wiem, że pan masz dość odwagi, czuję, że cofasz się z obawy o nas oboje i nie śmiem panu robić z tego zarzutu! Wracaj pan do siebie, a może znajdziesz szczęście bliżéj... o miedzę... (*wskazując na Zofią*) z nią! Zapomnij pan o mnie! Zostanę panu zawsze wdzięczna, żeś mi dał poznać inny świat i innych ludzi.

Horski.

Posłuchaj mnie pani! Gdybyś nie miała majątku, w téj chwili, wobec wszystkich, nazwałbym cię moją żoną. Po tém, co mi powiedział twój ojciec, powiedz, czy teraz zrobić to mogę?

Lola.

A więc rozstańmy się! Odjedź pan!

Horski.

Tak też postanowiłem; odjadę! ale nie bez nadziei powrotu! Jesteśmy oboje młodzi! przy-

szłość przed nami! Jeżeli powrócę, serca i dusze nasze będą zahartowane do walki, przejdą próbę ognia.

Lola.

A zatém, do widzenia, — albo: żegnam pana.

Limburg *(do Elżbiety).*

Słyszysz pani? on ją żegna!

Elżbieta.

Powróci.

Żelski.

Dam panu sposób, żeby go zatrzymać! Strać pan majątek — zostanie.

Limburg.

Panie Stockfindel, rozumiész pan to? ja mam bankrutować, żeby dostać nowego zięcia.

Stockfindel.

Co pan chcesz, my i tak przez nich zbankrutujemy! Mój mi pozew wręczył o posag żony! Czy przegram, czy wygram, to zawsze koszta zapłacę. Nie! ci „nasi zięciowie“ zupełnie nam się nie udali!

Pimbeche *(do Maryi).*

Ale dlaczego on chciał wiedziéć, jaki ja mam krawat?

Marya (*do męża*).

Cicho! To sekret między nim a Elżbietą! Porozumiewali się w ten sposób.

Pimbeche.

Jeśli tak, nie kompromitujmy kobiety! Dochowajmy jéj sekretu. (*nuci*) „Tajemnica dla mnie święta, Nim ją zdradzę oddam życie“. (*d. s.*) Opowiem to Kloci! uśmieje się z krawatów!

Stockfindel (*d. s.*).

Trzeba być ostrożnym z Limburgiem! Stracił szczęście do interesów! Tyle się teraz za tych zięciów płaci! on mógł mieć jednego za darmo i wymyka mu się! Widać, że już ma pech!

KONIEC.